

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

9
2011

IZRAEL

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:



str. 48

Józef Baran
BRAZYLIA

str. 66

Piotr Kloczkowski
INDONEZJA

str. 96

Tomasz Borkowski
BESKID NISKI

str. 16

Piotr Trybalski

ZIEMIA PRZYGODY

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



travelchannel HD

Lider wśród telewizji podróżniczych nadaje teraz w jakości HD

Travel Channel HD jest dostępne w pakiecie platynowym VECTRY. Więcej na temat pakietów HD znajdziesz na www.vectra.pl

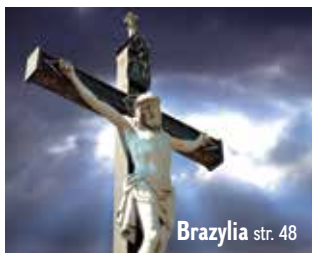
Nie zwlekaj, oglądaj Travel Channel w znakomitej jakości HD

Świat w
High Definition

www.travelchanneltv.pl



Malta str. 36



Brazylia str. 48

Izrael str. 16



Nepal str. 78



Armenia str. 106

NASZ ŚWIAT fotoforum **Czytelników** str. 6

KLUB str. 12

Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

ZIEMIA PRZYGODY str. 16

Przez cały Izrael ciągnie się 940 km szlak pieszy. **Piotr Trybalski**

CZAR WSPOMIENIŃ str. 25

Podróż poślubna do Grecji widziana oczami Anglika.

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 28

felieton **Dariusza Rosiaka**

NAVIGATOR str. 32

MALTA DLA ZAKOCHANYCH str. 36

Wymarzone miejsce do nauki angielskiego. **Jędrzej Majka**

GEOSKOP str. 44

MAZUREK NA WYNOS str. 46

felieton **Roberta Mazurka**

BRAZYLIJSKIE EPIFANIE BOGA str. 48

Stwórca miewa tu wiele twarzy i bywa wyznawany na najróżniejsze sposoby. **Józef Baran**

Z PERSPEKTYWY str. 56

felieton **Ryszarda Badowskiego**

MALARIA – AFRYKAŃSKA CODZIENNOŚĆ str. 58

Ta straszna choroba zabija w Ugandzie 320 osób dziennie, a nosicielami jest 90 proc. społeczeństwa. **Marta Nowakowska**

TRZY DNI STYPY I POGRZEB str. 66

Śmierć dla mieszkańców indonezyjskiej wyspy Celebes jest kluczowym wydarzeniem. Ważniejszym niż narodziny.

Piotr Kłoczowski

ODCHODZĄCE PLEMIONA str. 76

Fotografie **Williamy Gagnadoux**

POWROTY DO MANANGU str. 78

Ostatnie 30 lat bardzo zmieniło tę himalajską kotlinę wciśniętą pomiędzy Annapurnę a wyżynę Tybetu. **Elżbieta Dziuk i Krzysztof Renik**

ZIMNY RAJ str. 88

Ostatnia przed Antarktydą wyspa na południowym Atlantyku jest królestwem pingwinów i... zardzewiałego żelazstwa. **Tomasz Janecki**

JAK NAS WIDZĄ str. 95

Spotkanie z **R. Riza Donmezem**, przewodnikiem z Turcji

OSTATNIE TAKIE GÓRY str. 96

Niedaleko wypełnionych tłumem Bieszczad w zapomnieniu trwa Beskid Niski, najdziksze pasmo górskie w Polsce. **Tomasz Borkowski**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 104

Rozmowa z **Krzysztofem Jaroszyńskim**

ARBUZY OD POLICJANTÓW str. 106

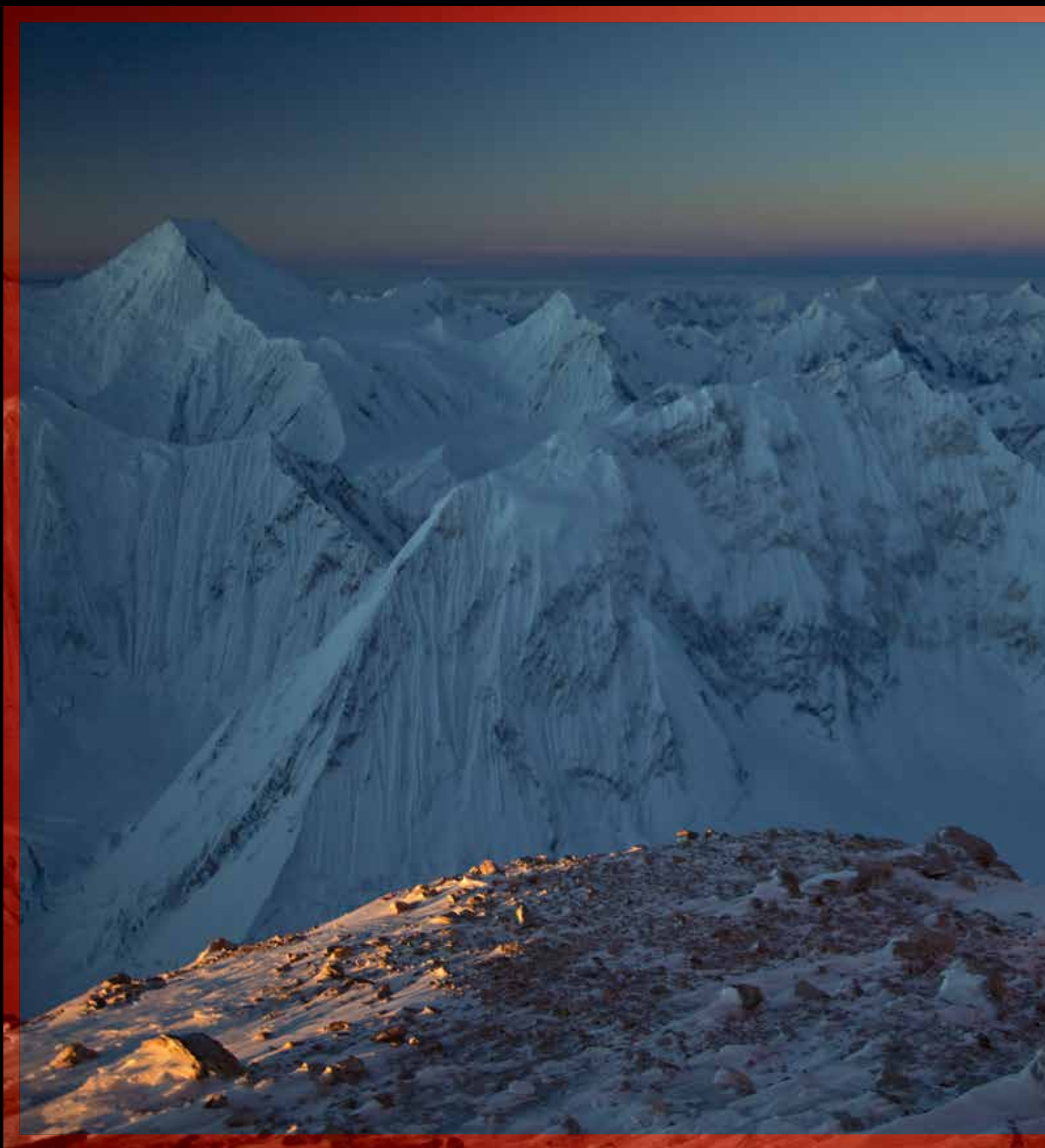
Ormiańska gościnność jest legendarna, a ich wiekowe monastyny wprost imponujące. **Grażyna Pastuszka i Krzysztof Grabowski**

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
IZRAEL – na
szlaku przygody.



□ CORY RICHARDS FOTOGRAFUJE ZESPÓŁ PODCZAS PIERWSZEGO W HISTORII ZIMOWEGO WEJŚCIA NA 8,035 M.N.P.M GASHERBRUM II, PAKISTAN.



NEVER STOP EXPLORING

W środku zimy zdobywamy ośmiotysięczniki dla takich właśnie momentów. Simone Moro, Denis Urubko i Cory Richards w drodze na szczyt Gasherbrum II, zapisują własną kartę w historii himalaizmu.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA THENORTHFACE.COM

THE
NORTH
FACE







Paweł Bielecki

POLSKA
50, 30, 12, 4...

Czy jest w tym logika?
Przed wojną helska flota połowowa
liczyła ponad 50 kutrów.
W latach siedemdziesiątych
i osiemdziesiątych stacjonowało
tu 30 nowoczesnych jednostek.
Pięć lat temu zarejestrowanych było
już tylko 12, a dziś w helskim porcie
pozostały 4. Resztę zezłomowano.

Jakub Pavlinec

SOPOT
**Rozkład
lotów**

W sezonie letnim z przystani na sopockim mołu odpływają trzy razy dziennie tramwaje wodne w kierunku Helu. Mewy odlatują stąd co chwilę we wszystkich kierunkach.



Anna Dąbrowska

MONGOLIA

Po grani

Wydmy Khongoriin Els na pustynii Gobi pełne są muzyki. To drobinki piasku niesione gorącym wiatrem wydają przedziwne dźwięki. Jeszcze ciekawszy odgłos piasek wydaje, gdy zbiega się po nim ze szczytu rozgrzanej wydmy.



Julia Wizowska

MAURETANIA

Po pracy

Jedną z niewielu atrakcji turystycznych stolicy, Nouakchott, jest targ rybny w porcie. Tu ryby sortuje się, czyści i sprzedaje. Pracującym tu ludziom upał i woń ryb towarzyszą przez cały dzień. Wieczorem można wreszcie odpocząć.



Dariusz Wiejaczka

BIRMA

Orientalny makijaż

Birmańskie kobiety i dziewczęta do ochrony przed słońcem używają sproszkowanego drzewa *limonia acidissima*. Maseczka dodaje uroku i zapewnia policzkom odrobinę chłodu. Przyciąga też spojrzenia turystów.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Płaskie wille leżały w głębi ogrodów. Zza żywopłotów i strzyżonych drzew czasem błysnęło szerokie okno albo parasol nad basenem. Angielka w kapeluszu i sięgających łokci rękawiczkach mówiła do Murzyna w stroju ogrodnika:

– *Józefie, przybliżcie się. Stańcie tutaj. Będziemy uczyli się podlewania. A to jest łopata... Nieprawdaż, jakie to łatwe? Ło-pa-ta.*

Po drugiej stronie ulicy dwie Murzynki piły słodkie soki i dziergały na drutach czapeczki. Nie zmieniając pół leżącej pozycji, uprzejmie odpowiedziały na nasz ukłon. Jedna z nich przywołała służącego i kazała podać sobie dziecko, które na nasz widok zaniósł się płaczem.

– *Dzielnica A1* – powiedział zamieszkały tu od lat mój przewodnik. – *Ministrowie, dyrektorzy departamentów. Misje. Zadrzewione działki, cztery sypialnie, dwie łazienki... Ale uwaga, wchodzimy w A2!*

Krajobraz zmienił się na gorsze. Domy stały bliżej siebie, roślinność była mniej zielona, białe panie piły herbatę pod parasolami, czarne panie rodzaj kumysu z tekturowych pudełek.

– *Trzy sypialnie, jedna łazienka* – powiedziałem.

– *Świetnie!* – ucieszył się mój przewodnik. – *Skąd wiesz o tym?*

– *Od tygodnia mieszkam w takim domu.*

Land rover zostawiliśmy na rogu ulicy pod drzewem. Przechadzaliśmy się teraz, aby doczekać do szóstej, kiedy otwiera się klub.

– *Mamy tu zachody słońca, jeżeli ktoś lubi* – informował dalej mój przewodnik. – *Wschody stanowczo są za wcześnie...*

W żółtej koszuli, krótkich spodniach i długich skarpetach przypominał mi filmy oglądane w dzieciństwie: „Lis Pustyni”, „Bohaterki Pacyfiku”. Pozostawało tylko wymierzyć odległość między końcem szortów a początkiem wysokich skarpet. Ta odległość była zapisana w regulaminach, zapewne z obawy, aby nie chodzono w czymś, co nasze starsze siostry nazywały „figami”.

– *A jak twoja trawa?* – mój przyjaciel spojrzął na mnie badawczo.

– *Sprowadziłem korzonki najlepszego gatunku. Podlewam. Ale po włożeniu ich w tutejszy piasek natychmiast zaczęły schnąć...*

– *Tak się składa...* – rzekł mój przyjaciel tonem ostrzeżenia. – *Tak się składa, że w naszym departamencie wszyscy dbamy o trawę i ogrody. Również sadzimy drzewa. Stwierdziliśmy, że ludziom, którzy nie sadzą drzew, nie można ufać. Co do innej roślinności... żony pracowników niższej rangi sieją kwiaty. Potem, pijąc herbatę z kotem na podolku, naparwiają się widokiem wrzaskliwych kolorów...*



Wojciech Albiński

Wróciłem po samochód, blachy były bardzo nagrzane. Natychmiast opuściliśmy szyby. Ruszyliśmy.

– *Wjeżdżamy w A3* – powiedziałem.

Asfalt kończył się. Jechaliśmy, podnosząc tumany kurzu. Domy stały tu już bardzo gęsto, na ogrodzeniach suszyła się bielizna, krzyczały dzieci, grało radio, tuż przed maską land rovera przetoczyła się piłka.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Grupa dziwnie ubranych ludzi zastąpiła nam drogę, rozstąpili się po naszych długich naleganiach.

– *To profesorowie miejscowego uniwersytetu* – wyjaśnił mój przewodnik. – *Głównie Amerykanie z Korpusu Pokoju. Piasek już ich w stopy nie parzy, a ubrania nabywają u żebraków. Ten w marynarce bez koszuli, tamten w jedwabnych majtkach. Czarni studenci nie wierzą im w jedno słowo: „Cóż to za wiedza, której posiadacza nie stać na garnitur i skórzane, choćby niewygodne buty?”*

Na końcu grupy dwóch profesorów szło, trzymając się za ręce. Ich twarze wyrażały pogodę i ufność. Spostrzegłem, że w pewnej chwili, nie zauważając zakrętu drogi, zaczęli pogrążyć się w buszu. Na szczęście, przyjaciele dostrzegli ich, ustawili we właściwym kierunku i pchnęli do przodu.

– *To marihuana* – powiedział mój przyjaciel. – *Ten kraj słynie z doskonałego gatunku.*

– *Uczni twierdzą, że marihuana nie jest szkodliwa – zgodziłem się. – Ani nie szkodzi funkcjom mózgowym, ani nie odbiera pamięci...*

– *To prawda* – zgodził się mój przyjaciel. – *Uczni na pewno się nie mylą. Z drugiej strony, jeżeli w przeciągu pół godziny mój rozmówca dwukrotnie zapytuje mnie, z jakiego kraju on sam przyjechał i jak nazywa się miasto, w którym się wychował, zaczynam mieć pewne wątpliwości... Wielu pedagogów w ten sposób tracimy...*

– *W jaki sposób?*

– *Schodzą z drogi i idą w dal... Jedni szukają źródeł Nilu, inni cienistych gajów marihuany. Bywa, że odnajdujemy ich kości, czasami przychodzi kartka z Katmandu.*

Jeszcze jeden zakręt i po obu stronach drogi był już tylko busz.

– *Krzaki, spod których wyziera piasek* – wskazywał mój przyjaciel – *czasami trafi się krowa, kilka kóz, dzieciom muchy wchodzą do nosa i wychodzą uszami...*

– *Czy nic nie robi się, aby wspomóc, ulepszyć?* – pytałem.

– *Robi. Budujemy tysiące domków A4. Dwie izby, bieżąca woda, kanalizacja. Do każdego domku prowadzi utwardzona droga. Kto słyszał o takich luksusach w Afryce? Jak okiem sięgnąć, domek obok domku. Jednocześnie, ambitni doktorzy nauk społecznych opisują potworne skutki mieszkania w pudełku od zapatek: prostytutka, klaustrofobia, rzu-*

canie papierków na ulicę, rzucanie się z nożem na sąsiada... Podejrzewam, że nawet mają rację... Osobiście wolalbyhm budować te domki w cieniu wysokich drzew, tu szemrzące źródelko, tam starożytny kościółek. Niestety, natura obdarzyła nas pustym polem.

Skręciliśmy z głównej drogi i już po chwili ustawiliśmy wóz przed rozległym, porośniętym krzakami budynkiem. Z prawej strony widać było basen kąpielowy i korty, po lewej rozciągał się trawnik, będący przedłużeniem werandy. Stały tam stoliki pod sznurami kolorowych lamp, a służba roznosiła napoje.

W sali wejściowej stanęliśmy przed trofeami myśliwskimi oraz portretem prezesa i założyciela klubu. Ruszyliśmy w stronę baru. W wyłożonym drzewem pomieszczeniu panował przyjemny półmrok, wiatrak pod sufitem stwarzał wrażenie chłodu. Barman natychmiast postawił przed moim przyjacielem na wpół wypełnioną szklankę, a na mnie spojrzał pytająco.

– Dwanaście lat temu wszedłem tu po raz pierwszy – powiedział mój przyjaciel. – Zażądałem podwójną whisky i dwie kostki lodu... Odtąd otrzymuję to niezmiennie. I gdyby, co Boże broń, zdarzyło się, że któregoś dnia znajduję w szklance tylko jedną kostkę, a zamiast whisky na przykład gin, wysnułbym z tego oczywiste wnioski. Po nieprzyjemnych doświadczeniach w Kenii, Zambii i Ugandzie, tak jak inni na pierwioski, tak ja wyczulony jestem na oznaki zbliżających się przemian.

Napierający członkowie klubu zmusili nas do przysunięcia się w stronę werandy. Jeszcze nie gotowi, by zasiąść przy stoliku, trochę niefortunnie ustawiliśmy się w przejściu.

– Ta osoba w białej sukni lekko zwrócona w stronę młodego człowieka, to moja żona – powiedział do mnie pewien klubowicz w golfie. – Jesteśmy przyjmowani u lorda Watsona z prawem zabierania głosu.

– A młody człowiek? – spytałem.

– To jest młody człowiek. Wspaniale leczy jej kryzysy i zapaści.

– Kogóż to widzę? Da Pasta! – mój przewodnik wskazał na okrągłą postać w głębi sali klubowej. – Zwykle widzi się go z żoną w czerni i dwoma córkami. Nigdy nie byłem im przedstawiony, nie mamy wspólnych znajomych, którzy ułatwiłoby nam ten nieprzyjemny akt. Jego nazwisko słyszy się dość często... z megafonu. Kiedy Da Pasta rozłoży się pod parasolami, prezes klubu zaczyna ryczeć: „Da Pasta! Znowu nie uściłicie składek! Da Pasta, proszę wyjść!” Wiesz, jak Da Pasta patrzy teraz na megafon? Czeka, kiedy go spytają o te kwity, nosi ich cały plik ze sobą.

– A ta para tam? – spytałem.

– Pod parasolem? On z wąsikiem, ona pikantna? To Francuzi. Gdyby coś kazalo im iść teraz i podejść w naszą stronę, z pewnością zaprosiliby nas na obiad. Skacz w ubraaniu do wody!

Stojący obok nas człowiek z białą brodą i fajką dosłyszał te ostatnie słowa.

– Ja byłem zaproszony do tych ludzi i zaproszenie przyjąłem! – oświadczył z dumą i rozejrzał się po otoczeniu, badając, czy zrobił na nas wrażenie.

Ponieważ milczeliśmy, ciągnął dalej.

– Na początku nie było drinków, tylko aperitif. Drink to jest drink, każdy rozumie, ale aperitif? Klnę się, miałem wybór między trzema rodzajami terpentyny i dwoma płynami do wywabiania tłustych plam i linoleum... Ku mojemu oświeceniu gospodarz odczytał napisy z butelek: „Pellegrini, Campari...”. Brzmiało to jak lista lokatorów w domu na Sycylii...

– Czy nie moglibyśmy przestać pić piwa, a zacząć pić brandy? – wtrącił uprzejmie Szwed.

– Mężczyźni są tacy bezbronni... – powiedziała dziewczęcę o przedłużonych rzęsach.

– Jak to wymierzyć? – zadumał się rządowy geometra.

– Jestem przekonana, że ta w rogu źle się prowadzi – powiedziała żona jednego z wysokich urzędników do swojej przyjaciółki.

– Która? Ta w niebieskiej sukni?

– Ta w czerwonej.

– Ale dobrze, że mi pani zwróciła uwagę, ta w niebieskiej na pewno też.

– Brandy! – rzucił krótko Szwed.

Człowiek z białą brodą i fajką przebił się do nas z powrotem.

– W czasie, gdy pani domu przyprawiała królika – mówił – pan domu wspominał kilka chwalebnych epizodów z ostatniej wojny. Opisał, jak samotrzeć Francuzi rozgromili Niemców oraz Japończyków i, gdyby nie przeciwne rozkazy, zdobyliby Berlin oraz Czeską Pragę. Potem, wniesiono nieszczęśliwe zwierzątko. Zapytany, czy wolę żeberka czy łapki, odpartem: „myszy, nietoperzy, królików nie biorę do ust...”.

– „Pan jest taki zachwycający”, powiedziała pani domu. Owiana zapachem królika, pochyliła się nade mną i zsunęła mi na talerz dwie obfite porcje.

– A rozmowa? – spytałem. – Jaka była rozmowa?

– Sartre i Sartre... – odparł człowiek z fajką. – Sartre to, Sartre owo. Sartre wczesny. Sartre dojrzały, późny Sartre... Słuchałem tego i myślałem, jakież sens ma imponowanie nazwiskami ludzi, o których nikt nigdy nie słyszał, o których nawet nie wiadomo, czy istnieją, a jeżeli tak, jak trzymali się na koniu...

Przesunęliśmy się w stronę stolików na werandzie. Było tu nieco spokojniej niż między ludźmi ze szklankami w dłoniach. Amerykanka z Misji Dobrej Woli gorąco tłumaczyła coś Murzynowi z brodą.

– Biali nie lubią nas – odpowiadał ponuro.

– Na czym opierasz takie przypuszczenie? – próbowała go pocieszyć.

Obok nas śnieżnobiała Angielka otworzyła pudełko papierosów.

– *To dopiero czwarty dzisiaj* – powiedziała z przymilnym uśmiechem.

– *Wolałbym, żebyś rzuciła alkohol* – odparł dotąd cicho siedzący mąż.

Torując sobie drogę przez tłum, zbliżał się ku nam Anglik erotoman.

– *Najmilsze są nieprzewidziane spotkania* – mówił z zadumą w głosie.

Oddany własnym myślom, ciągnął dalej. – *Szesnaście lat. Nigdy jej przedtem nie widziałem... Pytam, gdzie idziesz? A ona: „A gdzie byś chciał?”*

– *O postępie! Wspólnym wysiłkiem...* – mówiła Amerykanka z Misji Dobrej Woli. – *Ten pęd do nauki... Połączono siły. Zaraz przyniosę coś do picia!*

Korzystając z jej nieobecności, brodaty Murzyn wstał od stolika. Gdy zbliżył się, poznałem go, był to Ngubeni, wykładowca matematyki na Oxfordzie. Przystanął obok mnie i rzucił:

– *Powiedz jej, że poszedłem się uczyć.*

– *Pewnego wieczora słyszę ciche pukanie do drzwi... – snuł wspomnienia Anglik erotoman. – Nie była to Kleopatra ani Florence... Otwieram i dwornie zapraszam. Proszę, żeby zechciała usiąść, nalewam szklaneczkę słodkiego alkoholu, który trzymam na podobne okazje. Pytam, co cię sprowadza w moje progi, dziecko? A ona: „Jestem Beauty, sir.” „Beauty”, powiadam: „Tak sobie przyszłaś, czy chcesz mi coś powiedzieć?” „Jestem Beauty, sir, jestem kuzynką Florence, i przyszłam coś powiedzieć...” Nalewam drugą szklanekę, gładzę, do szczerości zachęcam. A ona: „Florence ma dziecko, chłopczyka, bardzo wesoły i podobny do ciebie...” I wtedy, jak mówią, grudkę poczułem w gardle, ogarnęło mnie pewne wzruszenie... Jak wiecie, mam dzieci z Chinką, Malajką, Hinduską, Rosjanką i Kanadyjką... Lecz ani z czarną, ani z Eskimoską. I nagle dowiaduję się, jest kruszyna, siedzi w krzakach, gdzie już zaczyna się Kalahari i gonią szakale. Tu popatrzyłem na Beauty, w kwiecie wieku, gładka skóra i dobre mięso. Powiadam: „Beauty, skoro tu już jesteś, umilisz mi wieczór.” A ona: „Yes, sir.” „Nim mi się pokażesz, włóż te wysokie pantofle, te czerwone...” „Yes, sir.” I tak już zostało: „yes, sir” i „yes, sir”. Stań na głowie, na rękach, głową uchwycić się lampy i rytmicznie bujaj. A ona: „Yes, sir”.*

Ze współczuciem popatrzyliśmy na opowiadającego, któremu niewczesna karność Beauty najwyraźniej sprawiła pewną przykrość. A on otrząśł się z zadumy i ciągnął dalej.

– *Następnego dnia kupiłem śpioszki, szmatki dla matki i kilka pudełek mleka w proszku. Załadowaliśmy to na land rovera, do tego beczkę wody i beczkę benzyny. Jedziemy, a Beauty prowadzi. Jak wiecie, do Molopolole jest jeszcze dobra droga, ale dalej przedzieraliśmy się już tylko przez busz i wyschłe strumienie. Gdzie przystaniemy, tam Beauty*

oznajmia: „To ojciec dziecka mojej siostry! Jedźcie zobaczyć i pieniądze wspomóc!”.

Wkrótce tłum biegł obok nas i przed nami, wynajdując wygodniejsze ścieżki i torując nam drogę. Okrzyki, śpiewy, czułem się jak zwycięski wódz albo biskup na objeździe prowincji. Na koniec, zajeżdżamy przed okrągłą chatką, wokół palisada z kolczastych gałęzi...

– *A chłopczyk?* – zaciekała się Amerykanka z Misji Dobrej Woli.

Chłopczyk był czarny jak węgielek i rzeczywiście wyglądał wesoło. Tymczasem, kelnerzy w białych kurtkach i czerwonych szarfach kończyli przypiekać koziołka. Obracali różnem dużo wolniej i skrawali płyty mięsa soczyste i chrupkie. Rozbłysły lampiony nad bufetem z sałatkami.

O Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

Ziemia przygody

Piotr Trybalski

Czym byłby Izrael, gdyby na chwilę zapomnieć o jego bogatej historii? Zapomnieć o judaistycznej tradycji, Jerozolimie, Galilei czy Betlejem?





Izrael to nie tylko historia zamknięta w murach Świętego Miasta, kamieniach ruin, pismach czy pieśniach. Izrael to także „ziemia obiecana” dla tych, którzy na hasło „przygoda” i „natura” unoszą z zaciekawieniem głowę i nadstawiają ucha.

Kraj, szesnaście razy mniejszy od Polski, wciśnięty jest pomiędzy Egipt i Morze Śródziemne na zachodzie a Jordanię na wschodzie. Na północy graniczy z Syrią i Libanem, na południu wąskim, siedmiokilometrowym pasem dotyka zatoki Aqaba, części Morza Czerwonego. Mimo że jest jed-

nal Trail. Pieszy szlak poprowadzony został w taki sposób, by można było dotrzeć do najciekawszych przyrodniczo i historycznie miejsc Izraela. Długi na 940 km, w obecnej postaci został ukończony na początku tego wieku. Na północy wiedzie przez plaże i malownicze wzgórza – zielone terasy, gaje oliwne, pola uprawne i lasy. Spotkać tam można pozostałości zamków krzyżowców, akweduktów czy amfiteatrów. Na południu, blisko połowę szlaku zajmuje pustynia Negev – prawdziwy skarb Izraela z zapierającymi dech pejzażami i bogatymi zabytkami kultury oraz pozostałościami budowli Nabatejczyków – budowniczych słynnej, jordańskiej Petry. Cała trasa została podzielona na 11 odcinków, które można pokonywać oddzielnie, poświęcając na nie od kilku godzin do kilku dni.

POCZĄTEK PRZYGODY

Mimo że północna, ulubiona przez fanów rowerów górskich, część szlaku jest łatwiejsza i przebiega obszarem bardziej cywilizowanym, wyprawę warto rozpocząć z Ejlatu, nadmorskiego kurortu na południu, położonego na przedpolu pustyni Negev. Ci, którzy czują się na siłach i mają odpowiednie doświadczenie, mogą na pustynię ruszyć sami. Inni

NEKOŃCĄCY SIĘ SZLAK

Całkowita długość granic Izraela wynosi 1017 km, Israel National Trail to 940 km.



nym z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych świata, mnóstwo turystów przybywa tu nie tylko z powodów religijnych czy zainteresowań historycznych, ale także by przeżyć prawdziwą przygodę blisko natury. Właśnie dla nich powstał przecinający cały kraj, z południa na północ, Israel Natio-

powinni skorzystać z usług licznych agencji z Ejlatu, organizujących całodniowe czy kilkudniowe wypadu. W rzeczywistości, Negev to wielki płaskowyż, położony niespełna tysiąc metrów nad poziomem morza. Poprzecinany jest licznymi uedami – suchymi dolinami, które w czasie wzmożonych



CAŁE WAKACJE W DRODZE

Na przebycie całego Narodowego Szlaku Izraelskiego potrzeba blisko dwóch miesięcy. Rowerem jest szybciej.

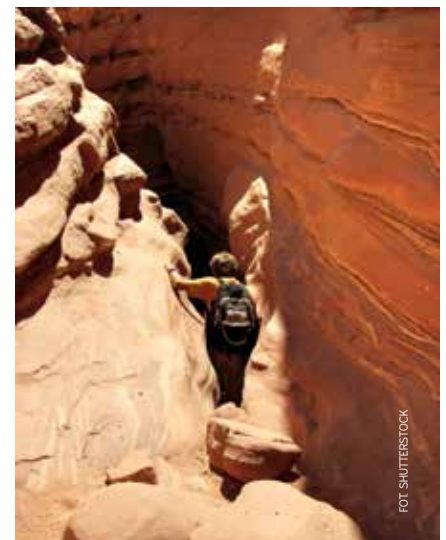
opadów, zimą, mogą błyskawicznie napęcznieć się wodą. O srogości regionu niech świadczy fakt, że najwyższe partie pustyni zasypuje zimą śnieg. Mimo to miejsce przyciąga niczym magnes, przede wszystkim wyjątkowymi krajobrazami, licznymi skamieniałościami i bogatą fauną. Optymalny czas na przejście pustynnej części szlaku to jesień lub wiosna. Wiosenne wyprawy mają jeszcze tę zaletę, że przy odrobinie szczęścia można natrafić na miejsce, które jest wciąż zalane wodą z zimowych roztopów. Pełne wody uedy pięknie kontrastują wówczas z czerwonym, pustynnym krajobrazem. Tuż za Ejlatem, w okolicy Timny, warto zajrzeć w miejsce, w którym jakoby znajduje się wspomniane w Starym Testamencie miasto Ofir. A w nim kopalnie Króla Salomona, rozpalające wyobraźnię poszukiwaczy skarbów już w starożytności.

NASI BEDUINI

Mniej więcej na środku pustyni położone jest jedno z najbardziej spektakularnych miejsc i niewątpliwie hit pustyni Negev – krater Ramon. Określenie „krater” jest nieco nieadekwatne, bo długie na 40 km, szerokie maksymalnie na 10 km i głębokie na 300 metrów zagłębienie nie jest ani dziełem meteorytu, ani efektem działalności wulkanicznej. Porównania do Wielkiego Rowu Afrykańskiego nasuwają się same. Widok momentami jest podobny, tylko zieleni brak. Warto zafundować sobie wycieczkę wytyczonymi

szlakami dookoła krateru w poszukiwaniu amonitów. Na północ od słynnego krateru warto zatrzymać się w Parku Narodowym Źródeł Owdat, prezentującym zupełnie inny charakter pustyni. To piękna oaza z imponującym źródłem, bijącym w kanionie rzeki Nahal Tzin. Zielen trawy, drzew i możliwość obserwacji koziorożców to wystarczające powody, by tu dotrzeć. Jeszcze dalej na północ, na skraju Negev, koniecznie trzeba zajrzeć do drugiego krateru w okolicy – Gadol. Panorama wielobarwnych, pustynnych piasków rozpościera się z położonego na wysokości 637 m n.p.m. wierzchołka góry Har Avnon.

Pustynia Negev to ojczyzna mieszkających tu Beduinów, którzy przystosowali się do życia w niesprzyjających warunkach. Rząd izraelski zezwala im na swobodne przemieszczanie się po pustyni, dlatego na mapie zaznaczone są nieliczne stałe osady. Reszta zależy od szczęścia – Beduinów można spotkać w zasadzie wszędzie. A gdy się to wydarzy, obowiązkowo trzeba dać się zaprosić na słynną, pustynną herbatę i pogawędkę. Zwłaszcza że tutejsi Beduini prawdopodobnie pochodzą z połowie od... wschodnioeuropejskich Słowian. Ci trafili tu w szóstym wieku jako niewolnicy, kupieni na służbę m.in. do słynnego klasztoru



NA WDECHU

Przez Ukrytą Dolinę (Ge Avud) trzeba się przecisnąć. To wąski kanion z czerwonego piaskowca, położony na pustyni Arava w górach Eilat.

Świętej Katarzyny u podnóża góry Synaj, na terenie dzisiejszego Egiptu. Kulturę Beduinów, których na pustyni żyje obecnie ok. 60 tysięcy, warto głębiej poznać w Muzeum Kultury Beduińskiej w Lahaw, położonym na północnym krańcu Negev.

PTASI FESTIWAL I INNE ATRAKCJE

Opuściwszy pustynię, szlak Israel National Trail wkracza w tereny bardziej cywilizowane i przyjazne turystom. Po minięciu Tel Awiwu i dotarciu do wybrzeża Morza Śródziemnego biegnie dalej, obok jeziora Genezaret do północnej Galilei – aż po granicę z Libią i Syrią. Po drodze, w licznych wioskach i kibucach (gospodarstwach rolnych) wędrowiec ma szansę na posiłek, szklankę wody, czasem nocleg, a zawsze na dobre słowo. Tutajsi mieszkańcy słyną z gościnności. W Galilei warto zatrzymać się w dolinie Hula. Jest ona fenomenem na skalę całego Bliskiego Wschodu. Ludziom udało się zamienić wielkie bagno w unikalny rezerwat przyrody. Izrael leży na trasach migracji ptactwa z północy i południa i jest drugim pod względem li-

HaHula w dolinie Hula, ze specjalnie zaaranżowanych stanowisk, można obserwować czaple, pelikany, dzikie kaczki z Europy i afrykańskie turkawki. W sezonie migracji zobaczyć można aż 400 różnych gatunków ptactwa. Nic dziwnego, że na przełomie marca i kwietnia w Ejlacie organizowany jest Międzynarodowy Festiwal Wiosennej Migracji Ptaków. Tysiące łowców, uzbrojonych w sprzęt fotograficzny, przez cały tydzień „poluje” nad morzem i na przedpolu pustyni Negev. Szczególna była edycja festiwalu w 2010 roku. Po bardzo obfitych, zimowych opadach, pierwszych od 6 lat, kiedy to suche uedy spłynęły wodą po raz pierwszy od 20 lat – pustynia zazieleniła się. Mnóstwo ptaków czekało na okazję, aby pozować w tym niesamowitym krajobrazie przybyłym fotografom.

Dla miłośników ptaków stworzono Kibbutz Lotan Center for Birdwatching. Położony ok. 50 km na północ od Ejlatu, w dolinie Arava, ośrodek organizuje profesjonalne wyprawy przyrodnicze. Agencje turystyczne w większych miastach zachęcają też do wypraw na pustynię, by zobaczyć koziorożce nubijskie, orły i lamparty. Nie ruszając się z Izraela, można z samochodu obejrzeć wiel-

PRAWIE JAK NA SAWANNIE

Dla miłośników przyrody czeka Safari Park w Ramat Gan we wschodniej części Tel Awiwu.



czelności skupiskiem ptaków na ziemi. W okresie sezonowych przelotów między Europą i Afryką na niebie jest bardzo tłoczno. Można tu spotkać setki tysięcy ptaków. Nad jeziorem Agamon

kie zwierzęta afrykańskiej sawanny – m.in. lwy, hipopotamy, słonie, zebry. Jeszcze dalej poszły władze Jerozolimy, otwierając w Świętym Mieście biblijne zoo, w którym zgromadzono wszystkie zwierzęta wymienione w Biblii. To część większego, uruchomionego w latach 60. projektu – próby przywrócenia fauny Izraela z czasów biblijnych. Sądząc po tym, co można zobaczyć w Hai-Bar Yotvata Nature Reserve, znajdującym się niedaleko Kibbutz Lotan Center – eksperyment się udał.



FOT. SHUTTERSTOCK

Władze rezerwatu sprowadzają poszukiwane gatunki z całego świata. Hai-Bar można zwiedzać samochodem, część zwierząt żyje na wolności.

WODNY ŚWIAT

Mimo pustynnego charakteru, Izrael to bez wątpienia kraj wody i wodnych atrakcji, a położony na wybrzeżu zatoki Akaba Ejlat to stolica tego świata. Miasto jest wyjątkowe pod każdym względem. Podobnie jak Tel Awiw, zupełnie nie przypomina ortodoksyjnej Jerozolimy, ma bardziej europejski, światowy cha-

akter. Wjeżdżając tu z egipskiej Taby, ma się wrażenie, jakby w ciągu kilku minut zmieniło się kontynent. Wielkie hotele, baseny, promenady, do tego bogato zdobione budynki w stylach wpisujących się w tradycję regionu, w którym narodziły się trzy wielkie, monoteistyczne religie: islam, judaizm i chrześcijaństwo. Ejlat to nadmorskie kąpielisko i miejsce rozrywki dla tysięcy turystów, którzy przez cały rok przylatują tu na wakacje. Co ich przyciąga? Łagodne, niezbyt kamieniste plaże, możliwość

uprawiania sportów wodnych, ciepła przez cały rok woda i... strefa bezcłowa. Ta ostatnia przyciąga też wszystkie światowe marki. Jeśli więc ktoś ma ochotę na wielkie zakupy w firmowych butikach – chociażby u Prady – Ejlat nadaje się do tego idealnie. Ale prawdziwym hitem miasta jest Dolphin Reef – czyli rafa delfinów, urocza zatoka, w której można pływać i nurkować z delfinami butlonosymi. Oprócz zwykłej rozrywki, miejsce oferuje coś jeszcze – sesje terapeutyczne dla dzieci dotkniętych autyzmem czy zespołem Downa.

Podwodne życie Morza Czerwonego moż-

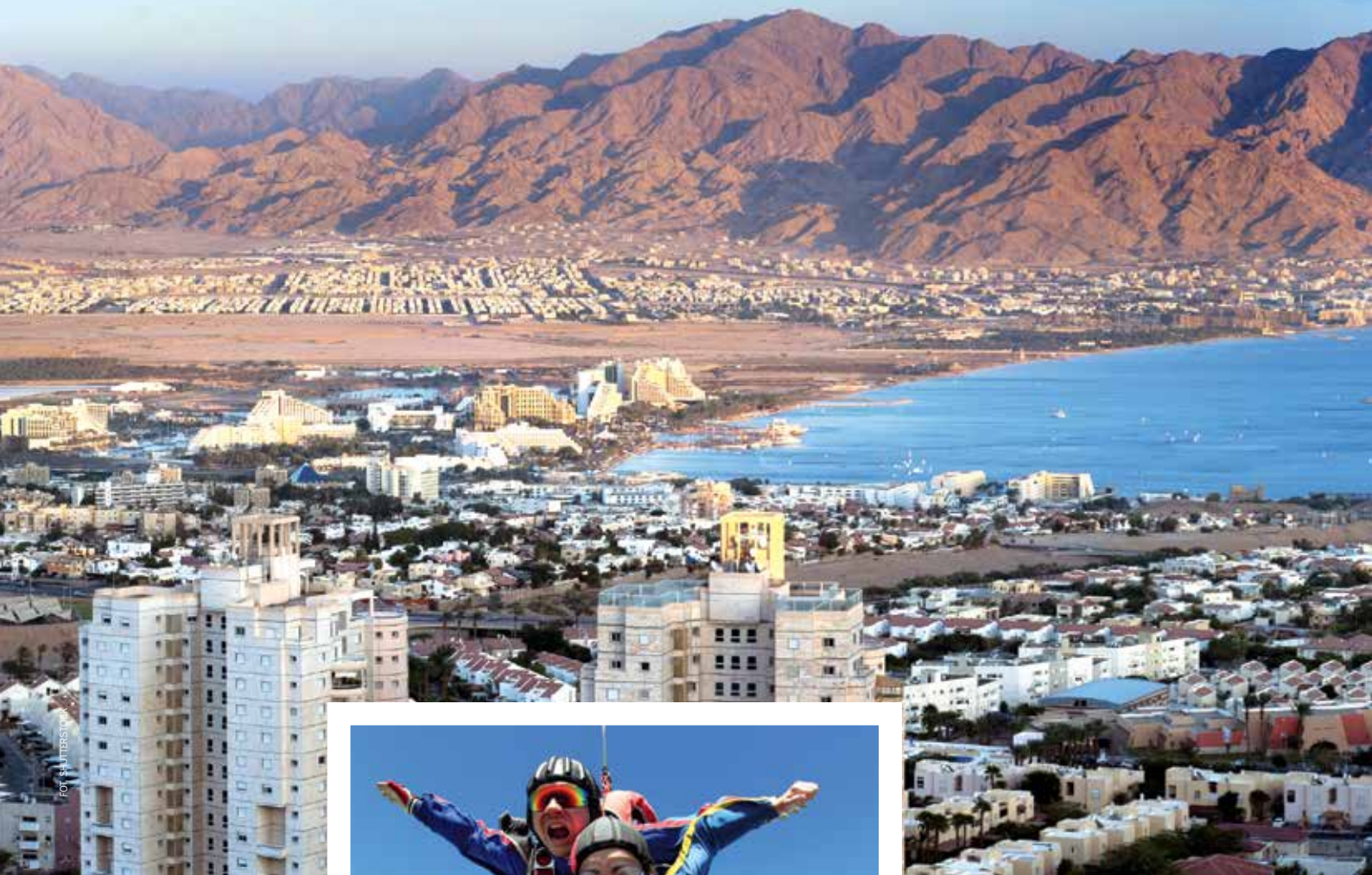
na odglądać w Parku Morskim. Zbudowano tu obserwatorium, gdzie 100 metrów od brzegu, kilka metrów pod wodą, zza wielkich szyb zwiedzającym przygląda się wielka, żywa i bajecznie kolorowa rafa. Jest też wielki basen z rekinami i mnóstwo atrakcji dla najmłodszych. W kurorcie działają szkoły nurkowania, można też wybrać się na pod-

wodne wyprawy. Zaawansowani nurkowie, zwłaszcza ci fotografujący, mogą wziąć udział w prestiżowych zawodach Eilat Shoot-Out, organizowanych jesienią. Sporo dzieje się nie tylko pod wodą. Na powierzchni, wody zatoki co chwilę przecinają



FOT. SHUTTERSTOCK

**MISTRZOSTWA
W KAJAKARSKIE MORSKIM**
W tym pustynnym kraju sporty wodne cieszą się ogromną popularnością.



fot. Shutterstock

SKOK Z INSTRUKTOREM

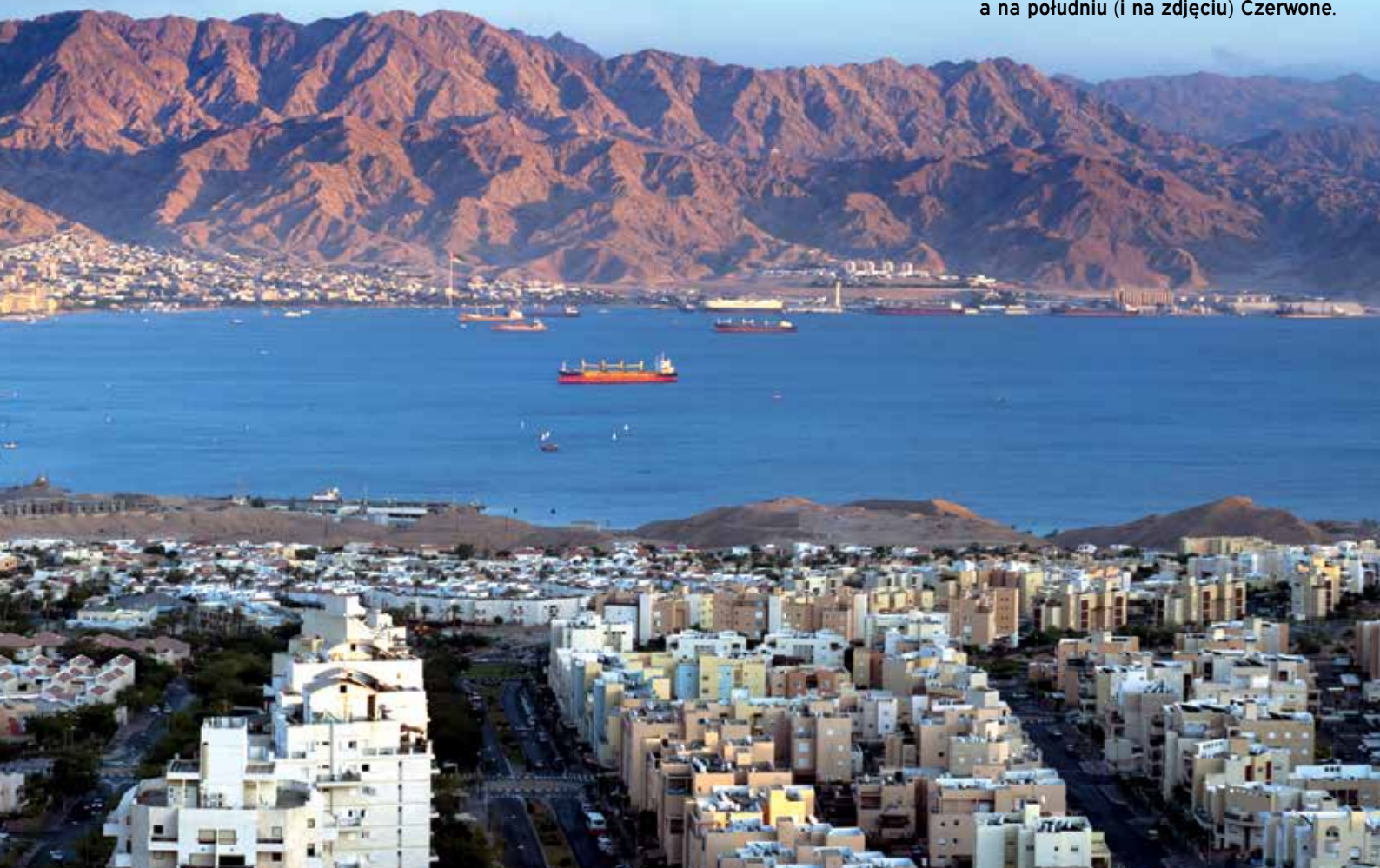
Niezapomniane przeżycie dla obojga.



deski windsurferów, a na błękitnym niebie widać skrzydła tych bardziej odważnych – kitesurferów. A gdy Village Beach – bardzo rozrywkowa plaża, którą szczególnie upodobali sobie młodzi turyści – komuś się znudzi, może zaglądnąć do The Airudium. Ten jeden z największych na świecie, halowych „powietrznych tuneli” pozwala zwiędzającemu poczuć się jak skoczek spadochronowy i bezpiecznie unosić się w kominie mknącego do góry powietrza. Zdobyte w taki sposób doświadczenie można potem wykorzystać w skokach ze spadochronem.

SKOK NA ZIEMIĘ ŚWIĘTĄ

Najbardziej popularnym miejscem do skoków jest strefa zrzu tu położona w okolicach miasta Beer Sheba, na północno-zachodnim krańcu pustyni Negev. Działający tam klub spadochroniarski Skykef organizuje kursy swobodnego lądowania i skoki w tandemach dla adeptów spadochroniarstwa. Podziwiać wtedy można po jednej stronie Morze Śródziemne, po drugiej Morze Martwe, na północy pustynię, zaś na południu zielone połacie okolic Tel Awiwu. Skoki można wykonywać też nocą, a najlepiej w czasie pełni księżyca. W październiku odbędzie się 13. Edycja Mikrolotowych Mistrzostw Świata. Na zawody najmniejszych maszyn latających przyjadą zawodnicy z całego globu, a że Polacy od lat święcą triumfy w tej dyscyplinie, jest pewne, że walczyć będą tutaj o złoto. Niebo przysłonią wtedy kolorowe skrzydła motolotni.



Z wysokości szczególnie wrażenie musi robić Morze Martwe. To najniższe położone miejsce na powierzchni ziemi (418 metrów poniżej poziomu morza) o srogim, gorącym i suchym klimacie. Przyciąga turystów z dwóch powodów – z ciekawości i dla zdrowia. Położone na granicy Izraela i Jordanii jezioro ciągnie się z północy na południe. Na północy zasilane jest wodami najważniejszej biblijnej rzeki Jordan, w której został ochrzczony Chrystus. Krajobraz okolic Morza Martwego jest isticie księżycowy. Brak jakiegokolwiek roślinności i bezruch gęstych od soli wód jest niepokojący. Ale miejsce jest bezwzględnie wyjątkowe w skali całego świata. Fotografia pływaka czytającego gazetę przeszła do kanonu ilustracji Morza Martwego. Wydobywana tu sól i glina to „izraelskie złoto” – surowiec, z którego wyrabia się kosmetyki pożądane przez kobiety. Powietrze z nad tego morza ma szczególnie właściwości lecznicze dla alergików i astmatyków, a słona

woda sprzyja leczeniu chorób skórnych.

Zaskakującym miejscem w sąsiedztwie jeziora jest oaza Ein Gedi, czyli „źródło kozła”. Od zachodu otacza je dzika Pustynia Judzka, na wschodzie graniczy z niecką Morza Martwego. Miejsce, zamienione w jeden z najważniejszych obszarów chronionych Izraela, słynie z parku botanicznego, w którym zgromadzono 900 gatunków roślin ze strefy równikowej i podzwrotnikowej różnych części świata. W czasie sezonowych migracji, przy s ł o d k o w o d n y c h źródłach oazy zatrzymuje się wtedy



FOT. SHUTTERSTOCK



GÓRALEK ABISYŃSKI NA PUSTYNI JUDZKIEJ

Góralku, czy ci nie żal?
Góralku... wracaj do
etiopskich ha!

200 gatunków ptaków. Warto wybrać się na górski trekking po Pustyni Judzkiej, można tu zobaczyć i fotografować liczne koziorożce, onyksy, lamparty, pustynne lisy i góralki abisyńskie (nieco podobne do świnek morskich). Suchy, pocięty uedami i wielkimi, skalnymi klifami teren opada nawet 600 metrów, ku Morzu Martwemu. Warto trafić do dwóch słynnych jaskiń – Jaskini Grozy, z czterdziestoma szkieletami, i Jaskini Listów, w której znaleziono listy z II wieku naszej ery – i dotrzeć do Źródeł Dawida – Nahal Dawid i Nahal Arugot. Przez cały rok można tam zażyć kąpeli w słodkowodnych źródłach i pod wodospadami. Jeśli ktoś nie ma ochoty włóczyć się po pustynnej okolicy, czekają na niego organizowane w oazie wyprawy samochodowe. Warto dotrzeć do położonej na południe Masady – twierdzy z I wieku p.n.e., jednego z najważniejszych miejsc w Izraelu – symbolu walki. Tutaj w 72 roku zeloci stawili opór rzymskim wojskom, broniąc twierdzy aż do samobójczej śmierci. Ogromna i malownicza ruina położona jest na płaskowyżu w kształcie rombu, chroniona wysokimi na 400 metrów, prawie pionowymi ścianami. Na szczyt dotrzeć można kolejką linową, ale prawdziwym wyzwaniem jest słynna „Wężowa ścieżka”. Żołnierze izraelscy, po odbyciu szkole-



KROPLA WODY NA PUSTYNI

Ein Gedi to ielona oaza na jałowej Pustyni Judzkiej.



nia wojskowego, wspinają się nią nocą z pochodniami na szczyt Masady, aby złożyć przysięgę, kończąc ją symbolicznym zwrotem „Masada już nigdy nie upadnie”. Wejście na szczyt wymaga sprawności – 5-kilometrowa droga zajmuje ok. 2 godzin, jest wąska i stroma. Cały czas idzie się w słońcu, dlatego wyprawę należy rozpocząć o poranku. O 10. rano, ze względu na palące słońce, droga jest zamykana.

MULTI-KULTI NA BIBLIJNEJ ZIEMI

Wielki temu Mojżesz poprowadził swój lud z Egiptu do Ziemi Obiecanej, przekroczył Morze Czerwone, pokonał pustynię. W Izraelu można choć przez chwilę poczuć się jak biblijny prorok – zerknąć w głąb morza, przejść pustynię, dotrzeć do Świętego Miasta i odpocząć pod drzewami gajów oliwnych na północy. Okazuje się, że do tej pory liczba osób, które pokonały cały kraj pieszo, podążając wytyczonym, narodowym szlakiem, nie przekracza dziesięciu. Na tych, którzy jeszcze nie odwiedzili Izraela, czeka więc nie lada wyzwanie. I lekcja tolerancji – bowiem szlak łączy miejsca wielu kultur, wielu religii i ludzi, którzy spotykając się w drodze, zawsze pozdrawiają się z uśmiechem. Bez względu na wyznanie czy kolor skóry. ○

MIESIĄC MIODOWY W GRECJI

CZAR WSPOMNIENIEN

Danny to człowiek orkiestra, showman, miłośnik podróży kochający ludzi. Swoją karierę rozpoczął w rodzinnym Newcastle.

Na przestrzeni ostatnich kilku lat prowadził program kulturalny na kanale BBC2, a teraz współprowadzi program w Brytyjskim Radio 4 i jest prezenterem Travel Channel. Oglądać go można w programie „Esencja podróży”, w którym przedstawia atrakcje turystyczne z różnych zakątków świata.

Prezentujemy Państwu relację Danny'ego Robinsona, z podróży poślubnej do Grecji, którą w zeszłym roku odbył ze swoją świeżo poślubioną małżonką.

artykuł sponsorowany





Często mówi się, że ślub jest trzecią najbardziej stresującą rzeczą w życiu. Na pierwszym miejscu jest rozwód, a na drugim mógłby być zawód sapersa. Aby ta jedna z najważniejszych chwil w życiu nie była tak straszna, wiele par planuje miesiąc miodowy tuż po ślubie. Tak też było w naszym przypadku. Po długim i stresującym okresie poprzedzającym ślub z niecierpliwością czekaliśmy na te dwa wymarzone tygodnie pełne relaksu i odpoczynku.

Przed podróżą jedynym moim zmartwieniem była wątpliwość, czy Grecja, którą wybraliśmy, jest odpowiednim miejscem na spędzenie tego błęgiego czasu. Według informacji, które do nas docierały, panował tam kryzys gospodarczy. Zastanawialiśmy się, czy to może wpłynąć na nasze wakacje. Mimo niepewności, zdecydowaliśmy się na wyjazd. Przygotowania rozpoczęliśmy od dokładnego planowania. Na naszej liście greckich atrakcji znalazły się Cyklady – archipelag na Morzu Egejskim u południowo-wschodnich wybrzeży Grecji oraz pierścien wysp otaczających wyspę Delos. Pierwszym przystankiem była wyspa wulkaniczna Santorini. Zatrzymaliśmy się w luksusowym hotelu Astra. To kompleksowy obiekt położony w malowniczej miejscowości Imerovigli.

Rozpościerał się stąd wspaniały widok na krater wulkaniczny.

– Zatrzymują się tutaj znani artyści – przywitał nas Georgie, menedżer hotelu. Gdy zapytałem: – Którzy? – nic już nie odrzekł. Ale stojąc nad hotelowym basenem i spoglądając na lazurową wodę i urzeka-

jący widok, trudno byłoby nie uwierzyć, że faktycznie wiele gwiazd wybiera właśnie to miejsce. Nasz apartament był czarujący, a widok z okna ciągnął się aż po horyzont. Ruiny zamku, jachty pływające po morzu, zielone ogrody, magiczne zachody słońca – jednym słowem pejzaże, które na długo zapadają w pamięci. Stres przedmażeński zniknął wraz z zachodzącym za horyzont słońcem.

Po rozpakowaniu rzeczy postanowiliśmy natychmiast wyruszyć do miasta. Dostaliśmy jeszcze garść praktycznych porad od Georgia, z którym już zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Dowiedzieliśmy się, co w najbliższej okolicy zobaczyć, gdzie zjeść, a gdzie napić się najlepszej kawy. Niedługo później



spacerowaliśmy malowniczymi ulicami greckiego miasta, próbując po raz pierwszy w życiu, jak smakuje spaghetti z homarem. Zapowiadało się fantastycznie!

Już pierwszy dzień na Santorini uświadomił mi, że to świetne miejsce na wakacje. Dużo spacerowaliśmy, na każdym kroku napotykając małe kościółki i domy z niebieskimi dachami. Niezapomnianym przeżyciem była przechadzka po stromym klifie – chyba najczęściej fotografowanym miejscem na wyspie. Niestety, nadszedł dzień, w którym trzeba było pożegnać Georgia, bajeczny hotel i rajską wyspę. Pocieszała nas jednak myśl, że przed nami jeszcze tydzień wakacji.



Zachęteni lazurem morza zdecydowaliśmy się na krótki rejs promem na Milo. Mimo że wyspa jest mniej popularna niż inne w archipelagu Cykladów, zachwycała nas pięknymi widokami i 70 cudownymi plażami. Romantyczny nastrój udzielał się nawet dlatego, że nocowaliśmy w małym, lokalnym pensjonacie.

Ale nowożeńiec podczas podróży poślubnej nie może obejść się bez luksusu. Dlatego na Mykonos zarezerwowaliśmy pobyt w modnym miasteczku Cavo Tagoo, w tętniącym życiem hotelu Golden Villas. Spędziliśmy tam cztery cudowne dni, pełne rozmaitych przyjemności. Mykonos ma opinię wyspy do imprezowania. Kiedy po raz pierwszy otwo-



rzyliśmy złote drzwi prowadzące do naszego apartamentu, zobaczyliśmy oszałamiający pokój z wieloma futurystycznymi przyciskami. Uwierzenie – wymagało czasu, aby sprawdzić, jak z pomocą tych wszystkich pokręteł kontrolować oświetlenie, odsłaniać zasłony czy... sterować ogromnym jacuzzi znajdującym się w łazience. Przez cztery dni praktycznie nie opuszczaliśmy hotelu. Obsługa była zawsze w gotowości, mini-bar dobrze zaopatrzony a widok z okna na morze – nieoceniony. W hotelowej restauracji jedliśmy przepyszne dania, a na prywatnej plaży mogliśmy wylegiwać się na wygodnych leżakach.

Wyjątkiem od tego słodkiego lenistwa była wycieczka na małą, skalistą wysepkę Delos. Podróż na miejsce wynajętą łódką zajęła nam 20 minut. Gorąco polecam, aby popłynąć z przewodnikiem, który opowiada o historii ruin oraz budowli, jakie się tam znajdują.

Czas na Mykonos minął błyskawicznie. Podczas opuszczania hotelu czuliśmy, że kiedyś jeszcze tu wrócimy. Jedyń przykrość sprawiło nam, że nasz miesiąc miodowy tak szybko się skończył. Na szczęście, mamy mnóstwo fantastycznych wspomnień oraz zdjęć z przepięknego Santorini, inspirowanego Milo oraz tętniącego życiem Mykonos.

Chcesz poczuć smak Grecji? Nic prostszego! Oto przepis na danie, które możesz przyrządzić w domowym zaciszu. Jeśli jednak gotowanie nie jest Twoją mocną stroną, oglądaj program „Smaki Grecji”, emitowany na **Travel Channel (premiera: 19 września o godz. 19.00)**. Prezenter programu, Charlie Ottley, podczas swej podróży po Grecji, zjeździł ją wzdłuż i wszerz. Poszukiwania niezwykłych greckich smaków zawiody go w najdalsze zakątki i na niewielkie, czarujące wyspy tego kraju. Kulinarne wyprawy zaowocowały przepięknymi wspomnieniami, a także znajomością przepisów na niezwykle greckie potrawy. Teraz, dzięki Charliemu, Wy także możecie skosztować wybornych, prawdziwie greckich dań bez wychodzenia z domu. Spróbujcie własnych sił w kuchni i poczujcie klimat tego wyjątkowego kraju!



Ośmiornica w sosie winnym

Przepis pochodzi z prestiżowej restauracji Kritikos w Ouranoupoli, którą Charlie Ottley odwiedził podczas swoich kulinarnych podróży.

Składniki: (Porcja dla 4 osób)

1 ośmiornica średniej wielkości (dokładnie umyć i pokroić na drobne kawałki)
4-5 łyżek oliwy z oliwek
świeży sos pomidorowy (zrobiony z 3-4 dużych startych pomidorów bez skórki)
pokrojone w kostkę pomidory (bez skórki)
1 łyżka pieprzu cayenne
sól do smaku
3-4 ząbki czosnku (drobno posiekane)
pęczek pietruszki (drobno posiekanej)
2-3 liście laurowe
1-2 łyżeczki białego octu winnego
½ szklanki białego wina

Sposób przygotowania:

Włożyć do garnka ośmiornicę wraz z sosem pomidorowym, pokrojonymi w kostkę pomidorami i oliwą z oliwek. Gotować na wolnym ogniu, doprowadzając do wrzenia. Ośmiornica wypuści soki, więc nie ma potrzeby dodawania wody. Kiedy ośmiornica będzie miękka, dodać łyżkę pieprzu cayenne, czosnek, połowę natki pietruszki, kilka liści laurowych, sól, łyżeczkę białego octu winnego i ½ szklanki białego wina.

Począć 5 minut, aż wyparuje alkohol, a następnie chwilę gotować na wolnym ogniu. Skropić ośmiornicę oliwą z oliwek, posypać pietruszką. Potrawa jest gotowa do podania!



Wylądowałem niedawno w prywatnym klubie w Nairobi. Miejsce jak z „Pożegnania z Afryką”, czarni kelnerzy w liberii, każde zdanie kończą: „yes, please”, nawet jak podają kartofle, to też mówią: „yes, please”.

ZANIM ZACZNIESZ SIĘ BAĆ

Pokoje wyłożone mahoniem, na ścianach obrazki z kolonialnej Kenii albo martwe natury z tropikalnymi owocami. Piękne białe dziewczyny ubrane na okolicznościowy bal snują się po korytarzach, jacyś elegancyści mężczyźni w średnim wieku zatopieni w fotele czytają „Telegrapha” i „Timesa” z dzisiejszą datą sącząc whisky. Jestem w towarzystwie Brytyjczyków, Amerykanów, Kanadyjczyków, Polaków. Przyszliśmy na kolację zaproszeni przez jednego z członków klubu. Każdy członek może zaprosić kogo chce, ale ludzie spoza grona bywalców nie mają prawa przychodzić sami. Pytam czy tu bywają czarni, bo jakoś ich nie widać.

– Od mniej więcej dziesięciu lat już tak – mówi dyrektor finansowy kanadyjskiej organizacji pomocowej urodzony w Libanie, wychowany na Bliskim Wschodzie, studia w Nowej Zelandii, żona (kanadyjska Węgierka, uciekała z rodzicami z Budapesztu w 1956 w wieku 2 lat), szkoła, studia, potem kariera w policji konnej w Ottawie. – Honorowym przewodniczącym klubu jest Prezydent Kenii Mwai Kibaki. Kilka razy wynosili go spod baru, bo sam nie był w stanie się ruszyć.

Przy naszym stole prym wiedzie Amerykanin o imieniu David, specjalista od spraw bezpieczeństwa, inaczej mówiąc facet, który żyje z przekonywania bogatych ludzi w Kenii, że w każdej chwili ktoś może na nich napasać i załatwiania im odpowiedniej ochrony. Właściwie nie musi nikogo przekonywać, bo wszyscy się boją, zwłaszcza kobiety. Po chwili historii z cyklu „o mało co ktoś na mnie nie napadł, ale na szczęście dałam sobie radę” staję się głównym tematem rozmowy.

– Kiedyś w nocy słyszę, jak ktoś rozmawia pod drzwiami – mówi żona dyplomaty z Kanady. – Wielokrotnie się na takie coś



przygotowywałam i wiedziałam co mam robić. Mianowicie dzwonić na policję i zabarykadować się w pokoju. Ale jak już coś takiego się zdarzy to człowiek traci głowę. No więc otwieram te drzwi i wrzeszczę do nich: A co wy tu robicie!? I widzę jak dwóch mężczyzn z zastaniętymi twarzami ucieka przez ogród do bramy.

– Łau! – mówi kanadyjska Węgierka. – Coś podobnego!

Amerykański specjalista od bezpieczeństwa patrzy na niedoszłą ofiarę z pobłażliwością.

– A jak człowiek powinien się w takich okolicznościach zachować? – pytam Amerykanina.

– Nie polecałbym otwierania drzwi w nocy, gdy usłyszysz rozmowę napastników – mówi Amerykanin i opowiada kilka historii o ko-

bietach napadniętych we własnych domach, zgwałconych, pobitych, zostawionych na pastwę losu. Z pewnym taktym opowiada i stosuje niedomówienia, bo w końcu przy kolacji jesteśmy. Więc nie mówi o „gwałconej” tylko „napadanej” przez godzinę we własnej sypialni przez dwóch napastników, podczas gdy dwaj pozostali siedzieli w salonie i oglądali telewizję. – Takie rzeczy też się zdarzają w Nairobi – mówi David.

Pytam kto częściej pada ofiarą zamachów, biali czy czarni. – Czarni – mówi David. – To oczywiste, bo jest ich więcej. Ale kolor nie ma znaczenia. Zamachowcy idą za pieniędzmi. Czasem trzeba bardzo niewiele, by stać się potencjalną ofiarą. Wystarczy, że masz w domu lampę, telewizor, telefon komórkowy – coś, czego inni nie mają, a bardzo by chcieli.

– Czy Nairobi to niebezpieczne miasto?
– Coraz bardziej, ale znam setki ludzi, którzy tu żyją i nigdy nie spotykają się z jakąkolwiek przemocą. I znam małżeństwo spod Genewy napadnięte we własnym domu – mówi David. A skoro o przemocy, to nieuchronnie rozmowa schodzi na RPA. Ponieważ towarzystwo jest podróżnicze, więc mamy do wyboru cały wachlarz opowieści. Honorowa konsul Gabonu (Syryjka o korzeniach słowackich, w Kenii od ćwierć wieku) opowiada o swoim jedynym spacerze po centrum Johannesburga, po którym obiecała sobie, że nigdy nie wróci do tego miasta. Zwracam delikatnie uwagę, że jednak piłkarskie mistrzostwa świata przebiegły bez większych problemów i na deser opowiadam o historii mojej znajomej sprzed lat, która została napadnięta na schodach swojego domu w bogatym zachodnim Londynie w biały dzień. Policja nie wykryła sprawcy. Każdy ma coś do powiedzenia, gdy pojawia się temat napadów. Na szczęście, większość z tych historii dobrze się kończy. Przynajmniej te opowiadane przy stole dobrze się kończą.

Jemy porządne angielskie jedzenie: ja pieczę w sosie miętowym z frytkami; pijemy dobre południowoafrykańskie wino, jest miło i wykwintnie. Za miło. Wygląda na to, że nasze towarzystwo czerpie radość z narzekania się nawzajem do snucia opowieści o tym, jak niebezpieczne jest życie w Afryce. To normalne. Za każdym razem, gdy wracam z Afryki albo do niej jadę rodzina i znajomi pytają mnie czy się nie boję. Dla większości białych ludzi Afryka dzieli się na tereny wypoczynkowe, czyli plażę i safari oraz całą resztę: czarny ląd, przepastne, niebezpieczne zagłębienie strachu, do którego wstęp wymaga determinacji, heroizmu i nadludzkiej odwagi. Ponieważ nie jeżdżę do Afryki na wypoczynek, to ludzie chcą, bym opowiadał im jaki to niebezpieczny kontynent, jak bardzo się bałem i jak cudem uniknąłem śmierci, a jeśli mówię, że właściwie nigdy w Afryce się nie bałem, bo nie było czego, to patrzą na mnie albo z podziwem, albo z niedowierzaniem. Eee tam, na pewno się bał, ale nie chce nam o tym opowiadać – co za bohater! Bohaterstwo, dramatyczne ucieczki sprzed

włóczy dzikich plemion w dżungli albo hord wściekłych zabójców w slumsach to nie dla mnie, niech inni o tym piszą i opowiadają. Szczerze mówiąc, gdybym kiedykolwiek znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, nigdy bym sobie tego nie wybaczył, a już na pewno bym się tym nie chwalił. Świadczyłoby to bowiem o całkowitej głupocie i braku wyobraźni autora. No dobrze, raz mi się to zdarzyło. W Luan-dzie wyjąłem z torby dyktafon i zacząłem nagrywać dźwięki ulicy oraz swoje obserwacje. W pewnej chwili napadł na mnie miejscowy chłopak, pewnie myślał, że to telefon komórkowy, chwilę siłowaliśmy się, ale ostatecznie udało mi się ocalić dyktafon. Dopiero po powrocie do domu dotarła do mnie istota tego co się stało: przez krótką chwilę, przez te kilka sekund śmiertelne niebezpieczeństwo groziło – nie, nie mnie – ale dziesiątkom historii zapisanych na moim dyktafonie. Jeśli złodziej zabrałby dyktafon, uciekłby z nim zapis wszystkiego tego, po co przyjechałem do Luandy. I gdy zdałem sobie z tego sprawę, wtedy naprawdę zacząłem się bać. ○

REKLAMA

Wygraj wspaniały weekend w **HOTELU ODYSSEY** w konkursie organizowanym przez **TRAVEL CHANNEL** i **POZNAJ ŚWIAT!**

Marzy Ci się pobyt w luksusowym miejscu, w którym zapomnisz o wszystkich zmartwieniach? Jeśli tak wiemy jak temu zaradzić. Weź udział w naszym konkursie i spraw, aby chłodny i szary wrzesień był pełen wrażeń!

Nagroda główna to weekendowy pobyt dla 2 osób w Hotelu Odyssey

Dodatkowo, dla 2 uczestników konkursu ufundowaliśmy zestawy upominków od Travel Channel i prenumeratę magazynu **Poznaj Świat**

Więcej na www.travelchanneltv.pl/poznajswiat

Konkurs trwa do 30 września 2011 roku

Jeśli szukasz inspiracji do zbliżających się wakacji zapraszamy do oglądania Tygodnia Greckiego, który pojawi się na antenie Travel Channel już we wrześniu (od 19 do 24 września).

W tym czasie zostaną wyemitowane programy, które poświęcone będą odkrywaniu tego magicznego kraju. Każdego dnia pojawi się inny dokument prezentujący kulturę, zabytki oraz wspaniałą grecką kuchnię.



Turystyka przygraniczna

Jesienny wypoczynek w Saksonii



Na dobrosąsiedzkie stosunki panujące między Polską i Saksonią do dziś ogromny wpływ ma unia polsko-saksońska zawarta za panowania Augusta Mocnego. Jedną z korzyści tamtego okresu był napływ do Polski wspaniałych artystów i architektów, którzy pozostawili po sobie liczne budowle i dzieła sztuki. Na przenikanie się kultur obu krajów niewątpliwie wywarł wpływ dwór drezdeński, który przeżywał wówczas lata największej świetności. Dzisiejsza Saksonia pełna jest „polskich” pamiątek z tamtych czasów, szczególnie w postaci herbu polsko-saskiego pod jedną koroną, obecnego zarówno na budowlach, jak i we wnętrzach wielu pomieszczeń.

MUZYKA, KULTURA I SZTUKA

Drezno zwane Florencją nad Łabą początkowo było słowiańską wioską rybacką. Dzięki Augustowi Mocnemu stało się centrum sztuki i kultury, a dziś uchodzi za europejską perłę baroku.

Zobaczyć tu można historyczne centrum miasta z późnobarokowym zespołem ar-

chitektonicznym Zwinger – jedną z najbardziej znaczących budowli późnego baroku w Europie – oraz Frauenkirche, monumentalnym barokowym, luteraniskim kościołem NMP. Jest to jeden z najbardziej znanych i rozpoznawalnych zabytków architektury protestanckiej oraz jeden z największych na świecie budynków z piaskowca. W Dreźnie znajduje się też Galeria Obrazów Dawnych Mistrzów skupiająca wielką kolekcję malarstwa europejskiego, a także słynna Opera Sempera, gdzie swoje premiery miały między innymi dzieła Straussa oraz Wagnera. Kolejnym miastem, które koniecznie trzeba odwiedzić będąc w Saksonii jest Lipsk. Renesansowy Stary Ratusz, piękne sukienice, grób Jana Sebastiana Bacha w kościele św. Tomasza, pomnik Goethego, który studiował na tutejszym uniwersytecie oraz pomnik Bitwy Narodów pod Lipskiem – najdotkliwszej dla Napoleona walki w czasie której zginął ks. Józef Poniatowski – przyciągają co roku rzesze turystów. Warto odwiedzić też Piwnicę Auerbacha (Auerbachs Keller) znajdującą się obecnie w pasażu handlowym Mädler Passage. Jest to najstarszy lokal gastronomiczny w mieście. Częstym gościem Piwnicy był Johann Wolfgang von Goethe,

który umieścił w niej akcję swojego najsłynniejszego dzieła pt. „Faust”.

TWIERDZE, ZAMKI I ZAMECZKI

Gdzieś nad brzegiem Łaby wylaniają się zamki i pałace otulone bajkowymi wioskami i rozległymi polami. W regionie króluje widoczna z daleka 750-letnia twierdza Königstein położona na wysokim stolicie górskim. Jest to wyjątkowy pomnik architektury o powierzchni 9,5 ha z dwukilometrowym murem obronnym w kształcie koła i około 50 budowłami, m.in. kościołem garnizonowym, zamkiem, zbrojownią i stacją. W przeszłości mieszkali tu żołnierze ze swoimi rodzinami, a życie w twierdzy przypominało życie w małym miasteczku. Dostęp do wody gwarantowała wykuta w skale i głęboka na 152,5 m studnia. Twierdza Königstein uznawana była za bastion nie do zdobycia, dlatego w wojnie trzydziestoletniej pełniła funkcję skarbcza, w którym przechowywano drezdeńskie dzieła sztuki, ważne dokumenty państwowe oraz złoto.

Na uwagę zasługuje również warowny zamek nierozłącznie związany z tragicznym



losem hrabiny von Cosel, kochanki polskiego króla i saksońskiego księcia – Augusta Mocnego oraz matki jego trójki dzieci. W wyniku dworskich intryg i pewnego ciągu zdarzeń, w wigilię Bożego Narodzenia 1716 roku przywieziono ją do zamku Stolpen. Na jej miejscu na królewskim dworze dość szybko zadomowiła się Magdalena von Dönhof (później Lubomirska). Hrabina von Cosel więziona była aż do swojej śmierci w 1765, w samotności przeżyła więc prawie 49 lat. Dziś Anna Konstancja von Cosel jest symbolem rozkwitu i świetności unii saksońsko-polskiej. Jej losy prezentuje wystawa na zamku Stolpen. Powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego pt. „Hrabina Cosel” dała miarodajny obraz życia królewskiej metresy.

TURYSTYKA AKTYWNA

Prawdziwym rajem dla aktywnych turystów jest region Szwajcarii Saksońskiej, gdzie miłośnicy wspinaczki mają do dyspozycji 1 100 skał. Natomiast wijąca się wśród miasteczek i kurortów Łaba zaprasza do wycieczek rowerowych wzdłuż brzegu rzeki lub do przejażdżek statkiem parowym jej nurtem. Bogactwo dziwacznych skał, zalesione, dzikie wąwozy i majestatyczne wzgórza z zapierającym dech w piersiach widokiem są gwarancją udanego i niezapomnianego urlopu. Jednym z wielu szlaków wędrownych w Saksonii jest Malerweg (Szlak Malarzy) w Parku Narodowym Sächsische Schweiz.

Pokonując tę trasę podąża się śladami wielkich, romantycznych malarzy jak Caspar David Friedrich, Carl Gustav Carus czy Ludwig Richter, którzy zachwyceni tutejszym krajobrazem uwieczniali go na swoich obrazach. Na szlaku spotyka się fascynujące skały, wąwozy i przełęcz Górną Połabskich, poznając ich najpiękniejsze oblicze. Przy okazji można zawitać do Pirny, miasta Canaletto lub odwiedzić dom słynnego impresjonisty Roberta Sterla w Wehlen-Naundorf. Oprócz wielu szlaków wędrownych i wspinaczkowych na aktywnych turystów odwiedzających Saksonię czekają też trasy rowerowe. Jedną z bardziej popularnych jest Szlak Odra-Nysa biegnący wzdłuż polsko-niemieckiej granicy. Jadąc tym szlakiem podziwia się nie tylko nadrzeczne błonia, żółte pola rzepaku i rozległe lasy sosnowe, ale także bogatą historię i wspaniałe zabytki. W Żytawie (Zittau) warto zwrócić uwagę na barokowe domy mieszczarskie i zobaczyć zabytkowe płótna wielkopostne z 15 i 16 wieku. Zgorzelec (Görlitz) jako dawne miasto handlowe zachwyca pieczołowicie odrestaurowaną starówką a Bad Muskau, ostatnia w Saksonii stacja na trasie zaprasza do wypoczynku w fantastycznym parku księcia Pücklera wpisanym na listę dziedzictwa przyrodniczego UNESCO.

Autor: Agata Płońska
www.germany.travel



Supported by:



Federal Ministry
of Economics
and Technology

on the basis of a decision
by the German Bundestag



Holandia

NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Polska



Litwa



Wioska w mieście

Jednym z ulubionych miejsc mieszkańców Dublina jest Howth – dzielnica znana z malowniczych plaż, portu z jachtami, latarni morskich oraz szlaków wiodących po klifach. Choć to zaledwie 15 km od centrum stolicy, poczuć się tu można jak w rybackiej wiosce. Restauracje oferują duży wybór ryb, owoców morza i wspaniały widok na zatokę. Wędrując ścieżkami wzdłuż klifów, można podziwiać panoramę Dublina i port, a nawet spotkać olbrzymie foki. Podmiejska kolejka z Dublina pozwala dotrzeć do Howth w 20 minut.

 53°23'N 06°04'W



W parkach Hanoweru

 52°22'N 09°44'E



Hanower to nie tylko zabytkowe kamieniczki, stary ratusz czy gmach opery. To miasto słynie przede wszystkim z ogrodów w Herrenhausen, założonych przez elektorkę Zofię z Palatynatu. Jednym z ciekawszych jest barokowy, utrzymany w stylu francuskim Grosser Garten, w którym dominuje Wielka Fontanna wyrzucająca słup wody na wysokość 82 m. Są tu też charakterystyczne dekoracje parkowe: rzeźby, grotty i sztuczne kaskady. Przez park przechodzą krzyżujące się żywopłoty o długości ponad 20 km. Latem warto przyjść tu o zmierzchu, kiedy park tonie w niezwykłych iluminacjach świetlnych. Drugim wyróżniającym się ogrodem jest Berggarten, w którym rosną drzewa, krzewy i kwiaty z całego świata. Sławą owiane są tutejsze orchidee. Park skrywa kilka budowli, z których najbardziej interesujący jest Dom Lasu Deszczowego. W jego wnętrzu odtworzono charakterystyczny dla Amazonii mikroklimat z jego fauną i florą.





 42°06'N 19°06'E

Z Baru do Baru

Jedno z najbardziej znanych miast Czarnogóry to Bar. Swoją popularność zawdzięcza niezwykle widokom na góry, lazurowemu wybrzeżu i gajom oliwnym. To tu rośnie najprawdopodobniej najstarsze w Europie drzewo oliwkowe, Stara Maslina, które ma ponad 2 tysiące lat. Bar, liczący zaledwie 13 tys. mieszkańców, przyciąga turystów wieloma zabytkami i urokliwymi uliczkami. Przyjeżdżając tutaj, koniecznie trzeba zobaczyć rezydencję króla Nikoli: ceglasty pałac z 1855 roku otoczony pięknymi ogrodami. Warto też odwiedzić dzie-

więtnastowieczny zespół pałacowy Topolica, w którym mieści się galeria sztuki i muzeum regionalne. W Barze funkcjonuje największy port morski Czarnogóry, a plaża miejska ma 750 metrów długości.

Pięć kilometrów na wschód od Baru znajdują się ruiny Starego Baru, z dobrze zachowaną wieżą zegarową z czasów tureckich, resztkami katedry św. Jerzego, XVII-wiecznym meczetem i łukowym akweduktem.



Morze pod dachem

Litwa Aqua Park w Druskiennikach

Koniec lata nie oznacza końca wodnych przyjemności. Dostarczą ich największy w Europie druskiennicki aquapark. Sztuczne morze pozwala porwać się falam, a jeśli to się znudzi – wypłynąć na dziką rzekę. Adrenaliny z pewnością dostarcza 8 zjeżdżalni – po największych z nich zjeżdża się w pontonach. Można także udać się do saun, popływać w basenie lub zażyć odprężającej kąpieli bąbelkowej w jacuzzi. W strefie dla VIP-ów znajdują się wielkie akwaria z kolorowymi rybami, basen i bar wodny z alkoholami z całego świata.

 54°01'N 23°58'E

Holandia Alkmaar



FOT. KATARZYNA WRÓBLEWICZ

52°38'N 04°44'E

Piątkowe targi serów

Rzesze turystów, skuszone niezwykle atrakcją, odwiedzają Alkmaar – holenderskie miasto, na północ od Amsterdamu. Od kwietnia do września odbywa się tam w piątkowe przedpołudnia targ serów. To inscenizacja wiernie odtwarzająca tradycyjny handel tym produktem, z udziałem najbarwniejszych postaci tego widowiska – tragarzy serów. Niezależnie od piątkowej atrakcji, warto zwiedzić urokliwą i niepowtarzalną starówkę tego miasta.



FOT. KATARZYNA WRÓBLEWICZ

Polska Węgliniec

51°17'N 15°13'E

Po grzyba

Koniec lata to czas grzybobrania. W Polsce grzybowych lasów nie brakuje, a samorządy prześcigają się w pomysłach na przyciąganie turystów. Dolnośląska gmina Węgliniec od lat przygotowuje Mistrzostwa Europy w Zbieraniu Grzybów. Najbliższa, XV edycja Święta Grzybów odbędzie się w dniach 10-11 września. Zawody rozpoczną się w niedzielny poranek. Uczestnicy zostaną zawiezieni do lasu autokarami i rozpoczną czterogodzinne grzybobranie. Zbierać można wyłącznie te zdrowe: borowiki szlachetne, koźlarze, podgrzybki, pieprzniki jadalne oraz mleczaje rzydze. Po zakończeniu zawodów grzyby będą ważone.



Za spóźnienie się do autobusu naliczane będą punkty karne. Za przyniesienie w koszyku grzyba chronionego lub trującego zawodnik będzie dyskwalifikowany. Na koniec, grzyby oceni niezależna komisja, wyłaniając zwycięzcę. Tegoroczne grzybobrania zapowiadają się obficie. Darz grzyb.

MALTA

DLA ZAKOCHANYCH

Jędrzej Majka

Jesienią roku 60, podczas silnej burzy, u wybrzeży Malty rozbił się statek płynący do Rzymu. Na jego pokładzie znajdował się Paweł z Tarsu. Rozbitkom nic się nie stało, a przez kolejne trzy miesiące apostoł krzewił na wyspie chrześcijaństwo.

Dziś Malta należy do najbardziej katolickich państw świata. Tak przynajmniej głoszą statystyki.





**KURS ANGIELSKIEGO
I PRAWA JAZDY**

Tak reklamują się niektóre szkoły na Malcie. Jadąc tam na kurs, należy jednak pamiętać, że na wyspie ruch jest lewostronny.

Archipelag Wysp Maltańskich tworzą Malta, Gozo i Comino oraz niezamieszkałe Cominotto, Filfla i dwie Wyspy Świętego Pawła. Przez ostatnie 7000 lat, odkąd na Malcie pojawili się pierwsi osadnicy z Sycylii, rządziło tu wielu: Fenicjanie i Kartagińczycy, Rzymianie i Bizantyjczycy, Arabowie i zakon Rycerzy św. Jana, w końcu Francuzi i Brytyjczycy. Ze względu na położenie w centralnej części Morza Śródziemnego wyspa stanowiła naturalny pomost między Europą i Afry-

ką. Dlatego spotyka się tu wiele tradycji kulinarnych. W restauracji można zamówić dania z makaronu – spuściznę po Włochach, zaś po Brytyjczykach zostały steki i ryba z frytkami. Wpływy afrykańskie, dokładniej arabskie, odnajdziemy natomiast w smażonym w głębokim tłuszczu ciastku mqaret ze słodkim nadzieniem z daktyli.

PAMIĄTKI PO BRYTYJCZYKACH

Biało-czerwono-żółty autobus, wyprodukowany w latach 50. ubiegłego wieku, przypomina kształtem ogórek. Otwarte w czasie jazdy drzwi zastępują klimatyzację, a rozciągnięty pod sufitem sznurek, zakończony dzwonkiem, zapewnia pasażerom chcącym wysiąść kontakt z kierowcą. Kiedy autobus pnie się pod górę, by po chwili zjechać stromą drogą w dół, turyści wstrzymują oddech. Wielki napis Ufajmy Bogu, umieszczony na przedniej szybie, nabiera jeszcze większego znaczenia. W takim właśnie autobusie poznałem pochodzącą z Petersburga Nataszę. Drugi dzień z rządu wracałem wieczorem z Valletty do Melliehy. I po raz drugi usiadła obok mnie ta sama dziewczyna.

– Uczysz się czy na wakacjach? – spytała.



FOT. J. DRZEJ MALKA



PRANIE NA ŚCIANIE

Lepsze to niż bilbordy reklamowe na elewacjach naszych kamienic.

– Na wakacjach. A ty?
 – Jestem tu od trzech miesięcy. Chodzę do szkoły. Uczę się angielskiego.
 – I jak? Jesteś zadowolona?
 – Zdies' klawo. Trzeciego dnia poznałam Tolika. Zakochałam się. On też jest z Pitra. Tam na pewno byśmy się nie poznali, musieliśmy przyjechać na Maltę. Takie widocznie było przeznaczenie.

Malta jest wymarzonym miejscem do nauki angielskiego. Od początku XIX wieku to drugi, obok maltańskiego, oficjalny język na wyspie. Rodzimy maltański uzyskał status języka urzędowego dopiero w roku 1934. Dziś prawie wszyscy tu są dwujęzyczni. – *W ciągu dnia szkoła, wieczorami dyskoteki, a w weekendy plaża* – zachwala pobyt na wyspie Natasa. Do licznych szkół językowych przyjeżdża rocznie około 40 tysięcy uczniów z ponad 50 krajów. Ale nauka angielskiego to nie jedyna okazja do otarcia się o brytyjskie klimaty. Rodem z Anglii są także czerwone budki telefoniczne i skrzyńki pocztowe oraz niebieskie latarnie, którymi oznaczono posterunki policji. Popijając brytyjskie piwo, Maltańczycy zazwyczaj kibicują drużynie Manchester United.

Na prośbę samych Maltańczyków w 1800 roku, Brytyjczycy przybyli na wyspę z zamiarem usunięcia z niej Napoleona i zakończenia trwających od dwóch lat francuskich rządów. Zostali na prawie dwieście lat. Niepodległość Malta uzyskała dopiero w roku 1979, a brytyjskie pamiętki zostały do dziś.

PRYZYSTANEK MALTA

Czekając, aż kelnerka przyniesie zamówione danie, siedziałem, rozglądałem się i trochę podśluchiwałem. Cóż było robić, kiedy do moich uszu dochodziła rozmowa prowadzona po polsku. Przy sąsiednim stoliku siedziało małżeństwo trzydziestolatków. Malta była dla nich jednodniowym przystankiem w trakcie tygodniowego rejsu po Morzu Śródziemnym. Popijali piwo i oglądali zdjęcia w aparacie.

– *To jeszcze Sliema, a to już Valletta. Katedra. Caravaggio. Ścięcie św. Jana Chrzciciela* – wyliczała kobieta.

– *Nie sądziłem, że w jeden dzień zwiędzimy aż tyle. Malta jest taka...*

– *A widzisz... Chciałeś cały dzień siedzieć w Valletcie, a tak widziałeś całą wyspę. Kościół św. Pawła. Grota św. Pawła. Katakumby św. Pawła* – opisywała kolejne zdjęcia.

– *Nie. To już katakumby św. Agaty* – wtrącił mężczyzna.

– *Kochanie, jak zawsze, masz rację* – odpowiedziała z uśmiechem kobieta.

– *Szkoda, że nie widzieliśmy Hypogeum. Świątynia sprzed 5000 lat. Nic dziwnego, że bilety trzeba kupić kilka miesięcy wcześniej, jeśli dziennie wpuszczają tylko 100 osób.*

– *Wrócimy tu za rok* – głos kobiety brzmiał stanowczo.

– *Jestem zmęczony. Marzę o tym, by wrócić.*

– *Kochanie, to jest nasza najwspanialsza rocznica ślubu. Dziękuję.*



FOT. JEDRZEJ MALKA

GŁĘBIA SPOJRZENIA

Przed czym dziś chroni oko Ozyrysa, umieszczane na rybackich łodziach?

Idąca do mnie kelnerka przeszła obok ich stolika. Niosła talerz z królikiem w czekoladzie. Zapach był tak intrygujący, że oboje podnieśli głowy znad aparatu i co chwila spoglądali w moją stronę. Smak potrawy był równie zniewalający, jak jej zapach. Fenek, tak mówią tu na królika, należy do ulubionych dań Maltańczyków. Królik pieczony. Królik smażony. Królik duszony, z dodatkiem cebuli, ziół i wina. Wybrałem wersję mniej tradycyjną. Delikatne mięso i sos z gorzkiej czekolady znakomicie się dopełniały.

JEZUS KOCHA MALTAŃCZYKÓW

Choć poznałem historię jej życia, nawet nie wiem, jak miała na imię. Starsza pani mokrą ścierką przecierała figurkę Jezusa wmurowaną w ścianę domu. Siedziałem przy kawiarnianym



stoliku i obserwowałem, co się dzieje po drugiej stronie ulicy. Na Malcie niemal przy każdych drzwiach wejściowych widzi się figurki świętych. Maltańczycy sprawiają wrażenie bardzo religijnych. Latem w parafiach odbywają się odpustowe festy. Ulice pełne są kwiatów, a niebo wieczorami rozbłyska tysiącami sztucznych ogni. Niemał wszyscy uczestniczą w procesjach.

– *Co podać?* – spytała kelnerka po raz drugi, a może i trzeci.

– *Przepraszam, zapatrzylem się* – odpowiedziałem.

– *Ona codziennie o tej porze przemycza Pana Jezusa* – rozpoczęła opowieść kelnerka. – *Pracuję tu od czterech lat i widzę ją każdego dnia.*

Ludzie opowiadają, że „całe życie jest wdową”. Jej mąż zginął na morzu. Wtedy zamknęła się w swoim świecie. Jakby ze śmiercią męża zakończyła własne życie.



FOT. JERZYZJ MALIKA

Znów spojrzałem w stronę kobiety. Widok przesłonił mi autobus z wielkim napisem *Jesus loves me* na tylnej szybie. Kiedy przejechał, kobiety już nie było. Pozostała jedynie smutna historia, opowiedziana przez kelnerkę.

Katolicka Malta, gdzie 98% społeczeństwa deklaruje się jako wierzący, a co piąty katolik należy do jakiegoś ruchu kościelnego, pełna jest ludzi przesądnych. Uczniowie, pisząc pracę egzaminacyjną, w lewym górnym rogu kartki umieszczają litery JMJ, oznaczające Jezusa, Marię i Józefa. Przed domem, w którym ktoś umiera, stawia się szklankę wody. Maltańczycy wierzą, że dusza opuści dom dopiero, gdy zostanie napojona. Z burt jaskrawo pomalowanych łodzi *luzzu*, po obu stronach dziobu, spogląda, namalowane bądź wyrzeźbione, czujne oko Ozyrysa. Ma strzec rybaków wypływających w morze.

COMINO PACHNIE TYMIANKIEM

Scena jak z filmu o miłości. Akcja rozgrywa się na skalistej wysepce. Kolor wody to granat i indygo na głębinach, błękit i turkus przy brzegu. Z wody

co jakiś czas wyskakują delfiny. Dzika przyroda klifowego wybrzeża, niewielka piaszczysta plaża, zatoczki i groty. Mężczyzna w białej płócienniej koszuli klęka przed ukochaną i wręcza jej pierścionek.

Być może byłem jedynym świadkiem tego zdarzenia. Takim świadkiem mimochodem, który, zamiast pluskać się w cudownej wodzie, postanowił obejść wyspę.

Comino, wysepka o powierzchni 2,5 km², różni się bardzo od sąsiadujących z nią turystycznej Malty i nieco spokojniejszej Gozo. To miejsce leniuchowania, z jednym tylko hotelem. Turysty, przywożeni łodziami do Błękitnej Laguny, upajają się zapachem tymianku. Jego wielkie kępy rosną w sąsiedztwie kminu, od którego wyspa wzięła swoją nazwę.

Po kilku godzinach totalnego lenistwa na tymiankowej wyspie znalazłem się w kilkuosobowej łódce, płynącej na Gozo. Już mieliśmy odpływać, gdy na pokład wskoczyło jeszcze dwoje pasażerów. To była tamta para. Być może byli to najszcześliwsi tego dnia ludzie na całym archipelagu maltańskim. Dziewczyna co chwila poprawiała włosy, opadające jej na twarz. Przy okazji, zupełnie nieświadomie, prezentowała wszystkim pierścionek zaręczynowy. ◯

GRAND HARBOUR

Nie jest już bazą wypadową chrześcijańskich korsarzy z zakonu Maltańskiego, lecz największym portem Malty.



Piwo na śniadanie, obiad i kolację

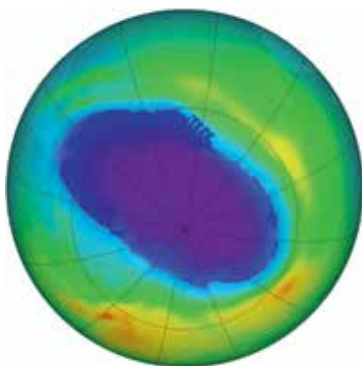
17 września rozpocznie się Oktoberfest. Do Monachium, jak zwykle, zjadą miliony wielbicieli bursztynowego napoju. Ten najpopularniejszy na świecie festiwal piwa przeistoczył się w jedną z największych zabaw ludowych. Festyny, nazywane Oktoberfestem, nie należały w Bawarii do rzadkości. Obowiązujące tutaj Prawo Czystości z 1539 roku zezwalało na warzenie piwa jedynie między 29 września a 23 kwietnia, należało więc wcześniej zużyć piwo z mijającego sezonu browarskiego, zanim rozpocznie się warzyć nowe. Dlatego tego typu festyny przypadają właśnie na okres przedłomu września i października. Monachijski Oktoberfest odbywa się co roku już od ponad 200 lat. Imprezę rozpoczyna w samo południe burmistrz miasta, dając tym samym pozwolenie na zabawę. Wtedy liczy się już tylko kufel zimnego piwa i niemiecka kiełbasa

„wurst”. Co roku w trakcie trwania festiwalu spożywa się około pięciu milionów litrów piwa. Cóż, trudno się dziwić, w końcu namioty z browarami otwarte są już od 10 rano! Wszystkie oferują tradycyjne mocne bawarskie piwo marcowe o zawartości alkoholu do 6,2%. Charakteryzuje się ono bursztynową tonacją, wysoką pełnią smacową i przewagą słodkich nut słodowych nad czystą goryczką chmielową. Dla odwiedzających ustawianych jest 14 hal piwnych, z których większe mają nawet 10 tysięcy miejsc siedzących. Hale dzielone są na dwie kategorie, hale browarów i namioty gospodarzy Oktoberfestu. Każdy gospodarz sprzedaje w swoim namiocie piwo tylko jednego browaru. Zum Wohl! (DM)



Jerzyk rekordzista

Nie gepard, antylopa czy koliber, a... jerzyk zwyczajny jest najszybszym wśród wszystkich żyjących na naszej planecie zwierząt. W pogoni za owadem osiąga nawet 335 km/h. Oprócz obszarów Azji i północnej Afryki, możemy go spotkać także na terenach Polski, m.in. w Tatrach, Karkonoszach i Ojcowskim Parku Narodowym. Jerzyk jest ptaszkiem.



FOT. NASA

Żyjąc pod dziurawym niebem

Dziura ozonowa rozciągająca się nad Antarktydą osiągnęła właśnie rekordową wielkość 30 milionów kilometrów kwadratowych. Jest teraz trzy razy większa od powierzchni Stanów Zjednoczonych. Gwałtownie powiększająca się dziura powoduje zwiększenie szkodliwego promieniowania nadfioletowego i potęguje globalne ocieplenie. 16 września przypada Międzynarodowy Dzień Ochrony Warstwy Ozonowej.

Dzień Turystyki

Światowy Dzień Turystyki obchodzony 27 września przebiegać będzie w tym roku pod hasłem „Turystyka – łączenie kultur”. W ubiegłym roku aż 940 milionów turystów odbyło podróże zagraniczne, poznając sztukę, zabytki, muzykę, kuchnię i tradycję innych państw. Dzień Turystyki ma zwrócić uwagę na znaczenie ochrony i promocji wszystkich form kultury na świecie.



FOT. LESZEK SZURKOWSKI

Z Nikonem w plenerze

Akademia Nikon organizuje kolejne warsztaty, tym razem związane z tematyką foto-eno-kulinariów. Odbędą się one między 4 a 9 października pod okiem profesjonalnego fotografa – Leszka Szurkowskiego. Głównym celem będzie odkrywanie świata architektury, wina i smaków włoskiej kuchni. Zajęcia w plenerze umożliwią poznanie Piemontu, regionu słynącego z gościnności, malowniczych krajobrazów, białych trufli i pięknych winnic. Inspiracji na pewno nikomu nie zabraknie. Uczestnicy będą mieli okazję uwiecznić na zdjęciach takie miasta, jak Asti, Alba czy Barolo. Przygotowano też lekcje gotowania lokalnych potraw, poszukiwanie białych trufli, degustację win i zwiedzanie muzeum korkociągów. Uczestnicy mogą korzystać z własnego sprzętu fotograficznego dowolnej marki.

Więcej na www.akademianikona.pl



FOT. SHUTTERSTOCK

Psi grobowiec

Na południu Portugalii, w pobliżu miasta Alcaccer do Sal znaleziono mający ok. 8 tysięcy lat grób psa. Jak twierdzą archeolodzy, to najstarsze takie znalezisko w tej części Europy. Zwierzę zostało pochowane zgodnie z pewnym rytuałem.

W tamtych czasach psy pełniły nie tylko praktyczną, ale i symboliczną rolę. Aktualnie, grób poddawany jest konserwacji, po czym będzie wystawiony jako eksponat w muzeum.

Dożynki wymyślili Słowianie

Zwyczaj ten, przypadający na 23 września, na równonoc jesienną, był praktykowany jeszcze w czasach przedchrześcijańskich – przez Słowian i plemiona bałtyckie. W różnych zakątkach naszego kraju bywa nazywany rozmaicie: dożynki, wyżynki, obrzynki, wieńcowe, żniwniok. W Rzeczypospolitej szlacheckiej dożynki kulturowano w majątkach ziemskich. Urządzano je dla folwarcznych żniwiarzy w nagrodę za wykonaną pracę i zebrane plony.

Świętu towarzyszyły różne zwyczaje. Na pustym już polu zostawiano ostatnią kępę lub pas niezżętego zboża dla ciągłości urodzaju. Zwano to przepiórką (na Mazowszu i Podlasiu), perepełką (na Kresach), brodą (we wschodniej części Mazowsza), kozą (w Małopolsce) lub pępkiem (w Wielkopolsce). Ścinane były uroczyście przez najlepszego kośnika, po czym wręczane najlepszym żniwiarkom, by uplotły wieniec. Niemniej ważny był ostatni zżęty snop zboża. Przyszłoroczny siew rozpoczynano z ziarna pozyskanego z tegoż właśnie snopa.

Obchody dożynek rozpoczynały się wiciem wieńca z pozostawionych na polu zbóż, z kłoci czerwonej jarzębiny, orzechów, owoców, kwiatów i kolorowych wstążek. Wieńce dożynkowe miały zwykle kształt wielkiej korony lub koła. W przeszłości umieszczano w nich także żywe koguty, kaczęta lub małe gąski, bo miało to zapewniać piękny i zdrowy przychówek gospodarski. Wieniec dożynkowy niosła na głowie lub wyciągniętych rękach najlepsza żniwiarka, czasami z pomocą parobków i innych żeńców. Za nią postępował orszak odświętnie ubranych żniwiarzy, niosących na ramionach przybrane kwiatami, wyczyszczone kosy i sierpy. Wieniec przechowywany był w stodole do kolejnego roku, do nowego siewu. W czasie dożynek organizowano biesiady z poczęstunkiem i tańcami, dawniej poprzedzane rytualnymi obrzędami i modlitwami.

We współczesnej Polsce dożynki zmieniły swój charakter. Te najważniejsze odbywają się na Jasnej Górze (jako dziękczynne święto rolników) oraz w Spale (dożynki prezydenckie). (DM)



FOT. ANDRZEJ RADOMSKI

**POD NASZYM
PATRONATEM**

Górski seans

Na Przegląd Filmów Górskich im. Andrzeja Zawady w Łądku Zdroju przyjeżdżają co roku najwięksi znawcy i miłośnicy gór. Niebawem festiwal odbędzie się już po raz szesnasty i będzie trwał przez niemal tydzień, od 20 do 25 września. Najciekawsze filmy pokazane będą w kilku innych miastach. Specjalnie na tę okazję zjadą najlepsi himalaiści z całej Polski. Do stałych bywalców imprezy należą Piotr Pustelnik, Anna Czerwińska, Krzysztof Wielicki, Ryszard Pawłowski, Dariusz Załuski i Leszek Cichy. Oprócz filmów, organizatorzy zaplanowali także pokazy slajdów, spotkania młodych podróżników, koncerty, prezentacje książek, wystawy fotograficzne, zawody wspinaczkowe i biegowe, wycieczki piesze, konkurs na najlepszą książkę o tematyce górskiej i kiermasz sprzętu turystycznego. Między filmami i konkursami będą losowane upominki, z których główną nagrodą jest wyprawa w Himalaje. (OK)



www.poznajswiat.pl

DYSTRYBUCJA - www.galileos.pl



MAPY:

- do internetu
- na zlecenie
- na tablice
- do druku

MAPY
turystyczne
samochodowe
rowerowe
wodoodporne
PLANY MIAST
PRZEWODNIKI



WYDAWNICTWO TURYSTYCZNE PLAN
58-500 Jelenia Góra
ul. Słowackiego 14
tel./fax 75 75 260 77
e-mail: plan@plan.jgora.pl
<http://www.plan.jgora.pl>



Afryka poznaje na sobie prawdziwość powiedzenia: „Chroń nas Panie Boże od przyjaciół, z wrogami poradzimy sobie sami”.

NIE POMAGAJCIE AFRYCY

I tu z góry przepraszam, że nie będzie śmiesznie, bo też czasami, na myśl o tym, co dzieje się na Czarnym Lądzie, nóż się w kieszeni otwiera, a piwo gotuje w butelce. Ale proszę się nie obawiać, nie będę epatował opisami dzieci z wydętymi brzuskami ani opisami ich umierających z głodu mam.

Swoją drogą, Róg Afryki – czyli Etiopia, Somalia i okolice, właśnie przeżywają nawiedzającą ten region z dokładnością raz na dekadę suszę. I znów giną tysiące ludzi, i znów biała Północ wysła tam żywność wartą dziesiątki, może setki milionów dolarów. W końcu biały mieszczanin nie może spokojnie jeść kolacji, gdy mu w telewizyj-

przez niosących pomoc białych. Mają swoje helikoptery, więc nie muszą tłuc się do Kampali kilkanaście godzin autobusem. Życie codzienne w Moroto wygląda cokolwiek groteskowo – jedynymi białymi, którzy chodzili tam pieszo były zakonnice z Sióstr Miłosierdzia św. Matki Teresy z Kalkuty i ja. A reszta? Reszta poruszała się z godnością samochodami ze służbowym kierowcą. Tak, nawet wtedy, gdy trzeba było podejść do sklepu po drugiej stronie ulicy albo na pocztę 100 metrów obok.

Ale nie groteskowość ich zachowania uderzała najbardziej. Nikt nie wiedział co oni tam robią. Większość ONZ-owskich agend chciała się bowiem zajmować propagowaniem prezerwatyw jako środka zapobiegającego AIDS. Szkopuł w tym, że zamieszkujące te tereny plemię Karamojo uchodzi za jedno z najbardziej nieufnych: żadnych mieszanych małżeństw, żadnych przelotnych związków, żadnego seksu przed ślubem. W efekcie AIDS, jak przyznają tamtejsi biali lekarze, się ich nie ima! Antykoncepcja? Tam, gdzie dzieci są odbierane jako błogosławieństwo i każdy chce mieć ich jak najwięcej? Wolne żarty.

– *Mogliby nam przysłać weterynarzy* – narzekał szef jednej z wiosek, który podjął mnie gościć. Istotnie, znanym hodowcom bydła taka pomoc przydałaby się najbardziej. Ja dodałbym jeszcze armię izraelskich agronomów. Jeśli bowiem ktoś potrafi zmusić Pustynię Judzką i kamienie Galilei, by rodziły plon dwa razy rocznie dałby sobie radę z zielonymi wzgórzami Ugandy ze szklaneczką koszernej whisky w rękę...

Tyle anegdota, niestety straszliwie smutna. Nie przesłania ona faktu, że już po dwudziestu latach od końca ery kolonialnej w Afryce było jasne, że ten model transfor-

macji się nie udał. Korupcja na niewyobrażalną skalę (Kenia traci przez nią 10 miliardów dolarów rocznie!), mordercze reżimy, nieustanne wojny zrujnowały to, co można było jeszcze zrujnować. Biali, tyleż z wyrachowania (w końcu chcieli z bogatym w surowce kontynentem prowadzić interesy), co kierowani współczuciem (wystarczy wspomnieć wielką akcję Live Aid z lat 80.) ruszyli na pomoc. To dobiło Afrykę.

Zambijska ekonomistka Dambisa Moyo w swojej książce o przerażającym, choć niestety prawdziwym tytule „Dead Aid” (Zabójcza pomoc) pokazała, że w 1970 roku 11 proc. Afrykanów żyło w nędzy. Dziś – proszę nie przecierać oczu – w nędzy żyje ponad 70 procent! W ciągu trzydziestu lat, do 2000 roku, liczba ludzi utrzymujących się w Afryce za mniej niż dolara dziennie wzrosła sześciokrotnie i nadal rośnie. A proszę pamiętać, że w tym czasie świat wpompował tam niewiarygodne pieniądze.

Oddajmy głos ekspertowi. – *Pomoc uzależnia, niszczy przedsiębiorczość i zaradność. Szkodzi całemu państwu, bo afrykańscy politycy nie szukają wyjścia z sytuacji, w której znalazły się ich kraje. Po co, skoro i tak dostają pieniądze? Za darmo. Nie wolno dawać pieniędzy politykom* – apeluje polski ekonomista zambijskiego pochodzenia dr Richard Mbewe.

Ale jest i inny aspekt. Życie w Afryce, w morderczym klimacie, zawsze było wyzwaniem, codziennym zdobywaniem pożywienia, walką, pracą w pocie czoła, by nakarmić siebie i rodzinę. Dlatego biały ze zdumieniem odkrywa, że wiele afrykańskich języków nie rozróżnia czasów. No bo jaka to różnica, czy coś działo się w przeszłości, czy też dopiero ma się wy-



nych wiadomościach te straszne obrazki pokażą. W końcu biały mieszczanin jest wrażliwy. I jak każdy biały, jest przyjacielem Afryki, chętnie pomoże.

Moroto, małe miasto na północnym wschodzie Ugandy, teraz dotknięte przez katastrofalną suszę, od lat opanowane jest

darzyć, skoro życie zawsze jest takie samo i zawsze koncentruje się na tym co dziś? A konkretnie na tym, co dziś do miski włożyć.

I oto pojawia się cudowny wynalazek – obóz uchodźców! Darmowe schronienie i strawa bez konieczności jakiegokolwiek pracy! Można zapomnieć o trudach, męce, koszmarze codziennego bytowania. Proszę wybaczyć, ale ilu z nas podjęłoby pracę, gdyby – tak jak w Norwegii – dawali nam zasiłek starczający na godziwe życie i wczasy w Tajlandii? A to przecież tylko kwesta skali oczekiwań. Nic dziwnego, że każdy specjalista od pomocy charytatywnej załamuje ręce nad obozami uchodźców i stałymi misjami państw zachodnich rozdających żywność tam, gdzie czynić tego nie trzeba. A przecież ONZ czy UNICEF zawsze wyasygnują wagon forsy, z którego na realną pomoc dojedzie co najwyżej maleńka drezyna. Przesadzam? Richard Mbewe szacuje, że do celu dociera co dziesiąty dolar wydany na pomoc! Reszta nikt nie rozkradana lub oliwając pospołu czarną i białą biurokracją.

Tak, tak, białą też. Rzut oka na ogłoszenia w „The Economist” czy „Wall Street Journal” pokazuje, kto może się dzięki takiej pomocy naprawdę świetnie ustawić i to w dodatku całkowicie legalnie – konsultanci, kontrolerzy, menadżerowie projektów, księgowi... Pal licho, jeśli robią cokolwiek pożytecznego. Gorzej, jeśli ich misje wyglądają jak ta, którą widziałem kilka lat temu w Malawi: kilkanaście niemal nieużywanych luksusowych terenówek, piękna willa, rezydencje z liczną służbą, dwadzieścia osób zatrudnionych. I tylko drobiazg, od półtora roku nie mogą pracować, czyli zajmować się dostarczaniem wody, bo nie zadbali o pompy. Rezydują więc w Lilongwe, a w czwartek zaczynają już weekend jadąc nad jezioro Malawi. Hm, przynajmniej rozwijają infrastrukturę turystyczną...

Dziś biali, może nie ci rezydenci z Lilongwe, najchętniej oddzieliby się od Afryki chińskim murem. Jednak, jak pokazuje nie tylko przykład zalewanej uchodźcami włoskiej Lampedusy, to niemożliwe. To niemożliwe także z czysto humanitarnego powodu, trudno wszak byłoby przyjąć, że zostawiamy miliard ludzi samym sobie. Ale też pora powiedzieć to sobie głośno: nasza pomoc nie tylko nie pomaga biednym, ale wręcz im szkodzi. To nie opinia, to fakty.

Oczywiście, wszystkie te rozważania nie dotyczą indywidualnej pomocy charytatywnej. Ta, zwłaszcza dobrze adresowana – wypróbowane organizacje, znani misjonarze, wiarygodne projekty – może tylko pomóc. Warto sobie jednak powiedzieć, że Afryka nie potrzebuje litości. Afryka potrzebuje szansy. Nie psujmy jej bezmyślną pomocą, pozwólmy jej uczciwie zarobić.

A jak już pomagamy, to ze świadomością, że nie zawsze tym, czego tubylcy najbardziej potrzebują jest prezerwatywa. No tak, ale agronom nie brzmi tak fajnie, jak kondom. I pewnie dlatego trudniej z niego grant zdobyć.



TARGI ROWERY 2012

**WARSZAWSKIE CENTRUM
MT POLSKA
UL. MARSA 56c**

29.09 - 1.10.2011

biuro@targirowery.pl

www.targirowery.pl

Brazylijskie epifanie Boga

Józef Baran



NIEWIARYGODNA
BRAZYLIJSKA MIESZANKA
RAS, KOLORÓW TWARZY...
TRUDNO SIĘ DZIWIĆ,
ŻE STWÓRCA ŚWIATA
TEŻ MIEWA TU
WIELE TWARZY
I BYWA WYZNAWANY
NA NAJRÓŻNIEJSZE
SPOSOBY.

Obok katolicyzmu, protestantyzmu, buddyzmu i islamu, jest tu zatrzęsienie sekt i ugrupowań religijnych, kultów szamańskich i spirytystycznych. Życie religijne mieszkańców Terra Brasileira cechuje niezwykła bujność i synkretyzm. Namietności i uczucia religijne widoczne są na każdym kroku, co objawia się choćby dużą ilością sklepów z dewocjonaliami lub oferujących różnorodną muzykę sakralną, i to na dobrym poziomie... A wiadomo, iż muzyka, obok futbolu, jest filozofią tego narodu.

PIELGRZYMKA POLSKOŚCI

Guarani das Missoes – południe Brazylii

Najwięcej jest w Brazylii katolików, oficjalne statystyki mówią o 130 milionach. Liczby te obejmują także polskich potomków, zasiedlających głównie południowe stany: Parana, Santa Catarina, Rio Grande de Sol. W trzech fazach gorączki brazylijskiej (od 1890 do 1938 r.) przybyło do tego obiecane raju, który okazał się dla wielu piekielkiem – ponad 140 tysięcy chłopów z trzech zaborów. Wypędził ich z terenów Polski głód. Dziś liczbę Brazylijczyków z polskimi korzeniami szacuje się na 1 do 2 milionów. Większość nie ma pojęcia, z jakiego regionu Polski pochodzili ich antenaci. Z Polonii. Ot, wszystko! Zresztą o dalekiej Polonii też niewiele wiedzą, bo mówią, że nie stać ich, by tam polecieć i spotkać się z krewnymi.

Doświadczyłem ich gościnności, znalazłszy się niedaleko granicy z Argentyną w miasteczku Guarani das Missoes – nazywanym „Małą Polonią”. Trafiłem na organizowaną corocznie – po raz osiemnasty już – w ostatnią niedzielę sierpnia pielgrzymkę do Linha Bom Cardin. Unaoczniała mi ona rolę Kościoła w podtrzymywaniu tożsamości i krzepieniu ducha.



**ZAWSZE W OSTATNIĄ
NIEDZIELĘ SIERPNI**

**Potomkowie Polaków
pielgrzymują corocznie
z Guarani das Missoes
do Linha Bom Jardim.**



FOT. JÓZEF BARAN

W tłumie pielgrzymów co chwila natykałem się na swojskie słowiańskie twarze i płowe czupryny. Ba, z rzadka udało mi się nawet zamienić z niektórymi słowa po polsku. „Z rzadka”, bo w ognie pielgrzymki, gdzie maszerowały rażno dzieci i młodzi, niewielu potrafiło skłecić choćby parę zdań w języku przodków.

Eugeniusz Hamerski, przywołany do mnie jako najlepiej mówiący po polsku (jego pradiadkowie przybyli spod Łodzi), właściciel 100-hektarowej fazendy, wyjaśnia mi genezę tej pielgrzymki do sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej: – *Przecie, gdy nasi dziadowie tu dotarli, to każdy trzymał pod sercem obrazek Świętej Panienci przywieziony z Kraju. A prócz tego, nie miał prawie nic! Dostali topory, motyki, namiot i gęsty, nieprzyjazny las ze żmijami i drapieżnikami, który trza było wytrzebić... Jakby nie ta wiara, Panie drogi, i jakby nie ta modlitwa do Matusi, to pewnie by my zdechli z tęsknoty. Dlatego pierwsze, co budowali, to była kaplica albo kościół, no i szkoła. W miejscu, do którego idziemy, też została zbudowana kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej – w 1914. I wokoło niej skupiało się życie polskiej kolonii...*

Gdy presuwam się do przodu pielgrzymki, oświeca mnie myśl, że mogłaby ona być metaforą ich losu. Z pokolenia na pokolenia polonusi przekazywali sobie w sztafecie nawyki, zwyczaję świąteczne, a także słowa z zakonserwowanej gwarowej polszczyzny... Im dalej w pokolenia, tym ta polskość bladła i ulatywała... W końcu pozostały tylko słowiańskie rysy, wlepione w twarze promieniujące ciepłą swojskością... i nazwiska przeinaczone

przez urzędników brazylijskich...

Posuwamy się wolno (z Guarani do Linha Bom Jardim – 20 km), a czasem przyśpieszamy kroku, eskortowani przez policję drogową, karetki pogotowia, lokalne ptaszki quero-quero i bem-te-vi. Przefruwiają z krzewu na krzew i nawołują wesoło: – *Widzę cię, widzę cię!*

Upał trzydziestoparostopniowy, na razie do wytrzymania. Feretrony, napisy, białe orły, wyhaftowane na sztandarach z wizerunkami Matki Boskiej, z napisem: „Matko Boska Częstochowska módl się za nami” albo „Santuário Nossa Senhora de Częstochowa”.

Po paru godzinach pielgrzymka wlewa się w brukowaną uliczkę Linha Bom Jardim... Wystrzelają w górę race... Trudno się nie wzruszyć, choćby było się nie wiem jak obojętnym religijnie. Msza, a potem kazanie biskupa niemieckiego, który po portugalsku opowiada o Matce – Królowej Polski ze szramą symbolizującą współcierpienie z narodem, który sobie wybrała.

Na placu – około półtora tysiąca ludzi; niektórzy przejechali autobusami setki kilometrów z miast i kolonii, takich jak Nova Prata, Nova Branca, Porto Alegre, Santa Rosa, Cerro Largo, Sete de Setembro, Frederico Westphalen, a nawet z odległej o 12 godzin jazdy autobusem stolicy polskości, Kurytyby. Większość pielgrzymów to potomkowie Polaków, nierzadko wymieszani z Kabokłami, Niemcami, Włochami, Murzynami.



FOT. JÓZEF BARAN

Po nabożeństwie – piknik pod ogromnym namiotem, churrasco, czyli najlepsza w świecie wołowina z rusztu i inne smakołyki...piwo, rozmowy, szum, gwar, muzyka o posmaku gaucho, ciżba ludzka – twarz przy twarzy, oddech przy oddechu...

Siedzę na ławie obok prefekta Guarani das Missoes Casemira Warpechowskiego i jego siostry Marii.

W tym pięknie położonym na falujących wzgórzach miasteczku zawsze prefektem był ktoś o polskich korzeniach, bo na 5 tysięcy mieszkańców, mało jest takich, którzy by ich nie posiadali.

Sama zaś pielgrzymka to nie tylko manifestacja wiary, lecz i okazja do spotkania się i upamiętnienia tamtych trudnych początków, gdy wyrwało się pazurami drzewa araukariowe, walczyło z żywiołami natury, cieszyło z pierwszego dachu nad głową, z pierwszych plonów... Iluż ich zginęło, pomarło z głodu, zanim ci, co mieli więcej szczęścia, doszli wyżej w emigranckiej pielgrzymce do swojego, na tej gościnnej-niegościnnej ziemi!? Nim pozakładali pierwsze kolonie, fazendy... obsiali pola soją, zbożem, kukurydzą, zaparli się korzeniami, pokoleniami w tej ziemi, nauczyli mówić po portugalsku i to tak, aż stał się w końcu ich pierwszym językiem...

W Guarani das Missoes przebywam na plebani, zaprzyjaźniając się z ojcem Mario, urodzonym w Paranie. Chętnie opowiada o specyfice katolickiego kościoła brazylijskiego, tak niekiedy innego od polskiego. Tu, w Guarani, istnieje jeszcze w szczątkowej formie indywidualna spowiedź (na Boże Narodzenie i Wielkanoc), ale gdzie indziej w Brazylii zrezygnowano z niej całkowicie, bo teren rozległy, a księży za mało. W kościele wszyscy, łącznie z księżami, przystępują więc w czasie mszy do komunii. Raz w miesiącu msze odprawiane są po polsku. Problem teologii wyzwolenia jest tu nadal żywy, księża w większości opowiadają się przeciw celibatowi...

KTO DA WIĘCEJ, TEN OTRZYMA WIĘCEJ NIEBA

Brasilia – środkowa Brazylia

Brazylia jest krajem katolików, ale Brazylia to też największa wylęgarnia egzotycznych z punktu widzenia Europejczyka sekt, wspólnot protestanckich, kultów afro-brazylijskich czy spirytystycznych (np. odrzucony w Europie w XIX w. spirytyzm Kardeka ma tu 5 milionów wyznawców!).

Podczas dwutygodniowego pobytu u mojego przyjaciela, profesora Henryka Siewierskiego (m.in. tłumacza, autora pierwszej w tym kraju wydanej po portugalsku „Historii Literatury Polskiej”) – zauważam, że w dziennikach telewizyjnych – oprócz świeżych doniesień o korupcji i malwersacjach polityków – wybucha też inna „bomba”. Przyłapano na przekrętach biskupa Odira Macedo, szefa Kościoła Uniwersalnego – Greja Uniwersal de Deus, najwięcej sekty w Brazylii.

Biskup posiada parę prywatnych kont, ogromny dom na Florydzie, a jego luksusowa rezydencja w górach koło Sao Paulo, licząca 2 tysiące metrów kwadratowych, wygląda jak pałac. Podejrzewany jest o „pranie pieniędzy”, między innymi za pośrednictwem należącego do niego kanału telewizyjnego o wielkim zasięgu, konkurującego nawet z katolicką stacją „Globo”. Ma dziewięcioosobowy zarząd „trzymający władzę”. Jego kościół liczy na świecie miliony wyznawców. Niedawno w Afryce Macedo poświęcił świątynię, której koszt budowy przekraczał 25 milionów dolarów, a pobliski parking mógł pomieścić 5 tysięcy samochodów. Są tacy, co mają nadzieję, że skandal w świetle kamer telewizyjnych skompromituje go w oczach biedaków – wiernych jego kościoła – którym urządza na stadionach religijne show, podczas których sprytni kaznodzieje, manipulując tłumami, wyludniają datki... Przede wszystkim, łąpią łatwowiernych na wędkę obietnic uleczenia ich z chorób i pokusę rajskich cudów, jeśli umiarkując, zapiszą im oszczędności. Głoszą hasła: „Kto da więcej na nasz kościół, temu będzie się należało więcej nieba”.

Jednak nadzieje, że Macedo zostanie zdemaskowany, wydają się płonne. Już parę razy siedział w więzieniu, a potem wydał książkę, gdzie przedstawiał się jako męczennik za wiarę.

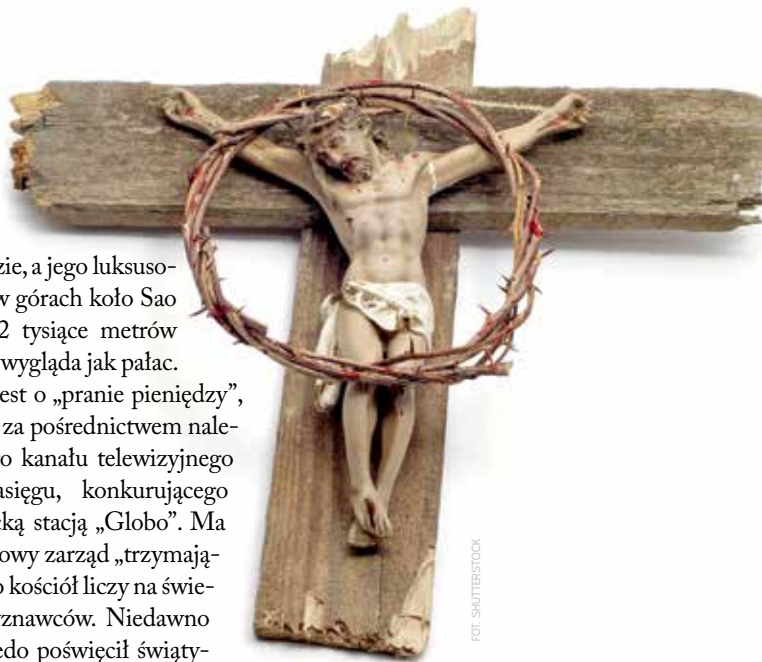
BOGOWIE WSZYSTKICH RELIGII, ŁĄCZCIE SIĘ!

Dolina Wschodzącego Słońca – 70 km od Brasilii

Któregoś dnia Henryk zaproponował mi wyskok z Brasilii, położonej na wysokości 1100 metrów – słońce praży tu ze zwielokrotnioną mocą – do Doliny Wschodzącego Słońca, gdzie spotkamy bogów wielu religii, żyjących ze sobą w komitywie.

– Wiesz – powiedział jak to on, ni to serio, ni żartem: – *Kobieta o nazwisku Tia Neiva uznała, że jeden Bóg to za mało na tak wielki kraj, i postanowiła poskładać w jedno fragmenty idei, filozofii i praktyk różnych wyznań, kultów, rytuałów, stwarzając w ten sposób podstawy synkretycznej doktryny, wyznawanej dziś przez 500 tysięcy ludzi.*

Pół miliona... w porównaniu z kościołami-



FOT. SHUTTERSTOCK



-Guliwerami w tym kraju, kościół Tii Neivy jest lilipuci. Lecz jeśli wziąć pod uwagę, że powstał zaledwie 40 lat temu, a mimo to ma już 640 świątyń w różnych miejscach świata... to dużo. W dni weekendowe przyjeżdżają do Doliny Wschodzącego Słońca tysiące ciekawskich, by uleczyć duszę i poddać się egzorcyzmom duchowym. A poza tym, wiadomo, trochę teatru nikomu nie zaszkodzi, a w tej dolinie teatru więcej niż trochę. Przebierańcy, procesje, rytuały, śpiewy i widowisko, że hej!

Wjeżdża się do Vale do Amahecer przez piękną bramę. Na tablicach można wyczytać różne ekumeniczne napisy typu „*Tylko miłość i tolerancja prowadzą do Boga*”. Albo „*Przetrwamy, bo wszystko jest Siłą, Światłem i Życiem*”. Każdy może sobie z nich wyjść miód, jaki zechce... Założycielka podkreślała zawsze, że celem jej organizacji jest służba duchowa poprzez leczenie.

Przyszła na świat w 1925 roku w rodzinie katolickiej o inklinacjach mistycznych. Dość szybko znalazła męża, wydała na świat czwórkę dzieci i owdowiała. Pracowała na zakupionym przez siebie rancho. Ponieważ stale chorowała na zapalenie płuc, postanowiła sprzedać fazendę i przenieść się do miasta.

W 1949, jako pierwsza kobieta w Brazylii, zdała egzamin na prawo jazdy i kupiła ciężarówkę. Dowiedziawszy się o budowie Brasílii – nowej stolicy, zatrudniła się jako robotnica. W 1957 zaczęła mieć pierwsze widzenia mediumistyczne. W końcu – jak piszą – „uległa namowom Wielkiego Ducha”. Uwierzyła, że ma misję do spełnienia. W latach sześćdziesiątych – najpierw w górach, potem tu w Dolinie, stworzyła podstawy swojej religii, opartej na nauce Nowego Testamentu, lecz naginanej jak plastelina do jej potrzeb.

Wiarę w reinkarnację zapragnęła pogodzić z chrześcijaństwem, z wierzeniami w stare duchy indiańskie, no i... w dziesięciu największych doktorów ludzkości, wcielających się w media – kapłanów – i dokonujących za ich pośrednictwem operacji duchowych... Wyznawcy Duchowego Zgromadzenia, założonego przez Tię Neivę (ona sama zmarła w kilkanaście lat po wzniesieniu świątyni), to obywatele trzydziestotysięcznego miasteczka, pracujący etatowo w różnych zawodach.

W leczenie i cały ten swój teatr „bawią się” – sami powiedzieliby, wypełniają swoją misję – w czasie wolnym od pracy, nie otrzymując żadnej zapłaty. No, i dodajmy: ich teatr rytuałów wypełnia im interesująco życie, gdyż nie są tylko biernymi wyznawcami swoich idei, lecz ich aktorami i kreatorami.



ŚWIĘTA SYRENKA

W hołdzie bogini Jemaji co roku odbywa się święto, w którym tysiące ludzi składa ofiary z kwiatów, perfum, biżuterii, grzebieni, lusterek itp. Rybacy zbierają te przedmioty do koszy i wrzucają do morza. Potem następuje radosna uczta i zabawa.

Opowiadał nam o tym przewodnik po Dolinie, Itamir, emeryt wojskowy, który twierdził, że wyznawcy Neivy nie są fanatykami. Respektują inne religie, przecież na pierwszym planie ich świątyni znajduje się ogromna figura Jezusa, a dopiero na drugim – bóg indiański Nowa Strzała. Sam Itamir zaplanował przemienić się w kolejnym wcieleniu w ducha patronującego świątyni...

Zgromadzenie Duchowe podporządkowane jest, jak w wojsku, hierarchii. Na szczycie czterech prezydenci, dalej arkanowie, doktrynatorzy i doktrynatorki, media i nimfy, inkorporatorzy i inkorporatorki...

Ubierają się malowniczo w barwne uniformy, krynoliny, płaszcze, kapelusze, czaka, korony na głowach. Defilują po rozległym placu lub w świątyni uczestniczą w oczyszczających rytuałach. Są tu specjalne sale leczenia i modlitwy, gdzie ławy, trony, krzesła poustawiano hierarchicznie. Zanim przystąpią do uzdrawiania, sami poddają się oczyszczeniu. Doktrynatorzy obchodzą w koło siedzące w ławach media, modlą się nad nimi, wykonując jakieś ekspresyjne gesty, co udziela się mediom, które równieź zaczynają się trząść jak osiki i krzyczeć wielkim głosem. Ważna jest – jak zrozumiałem – dobra energia, otrzymywana od dobrych duchów, bo nią się leczy...

Oprowadzani przez Itamira po świątyni, zatrzymujemy się przed ołtarzem Wielkiego Men-

tora Duchowego. Objawił się on założycielce, by kształciła apostołów. Ten Duch ponoć działa na Ziemi już tysiące lat. Ostatnia jego inkarnacja dokonała się w Boliwii w 1600 roku. To on właśnie – jak zapewnia nasz przewodnik – wcielił się w św. Franciszka.

I oto nadchodzi chwila kulminacyjna, gdy mam się poddać operacjom duchowym. W bocznej niszy przekazują mnie z rąk do rąk kapłani-mediumiści wypędzając ze mnie moce nieczyste. Strzelają palcami, mamroczą zaklęcia, biją się w piersi i po ramionach, krzyczą, klaszczą w dłonie, gwizdzą, śpiewają, mocują się z moimi duchami, widocznie bardzo silnymi, stawiającymi tęgi opór.

Obchodzą mnie dookoła, podnoszą ręce, opuszczają, błogosławią, klepią po plecach. No, mówię wam... aż chce się uciekać, gdzie pieprz rośnie, ale widzę mojego przyjaciela, że ze stoickim spokojem kontroluje całość akcji z za zasłonki, dając mi znaki – *wytrzymaj, wytrzymaj, bracie, jeszcze chwilę wytrzymaj...* No i wytrzymałem...

A następnie – lekki, bezgrzeszny i oczyszczony – wracam z Henrykiem do stolicy. Tu, w mieszkaniu Siewierskich, z ogromną werandą obłożoną donicami z egzotycznymi kwiatami, gdzie centralne miejsce zajmuje akwarium z rybami, można podyskutować o namiętnościach religijnych Brazylijczyków i o tym, co widzieliśmy w Dolinie.

Małgorzata, żona Henryka, śmieje się, że w tym kraju uważa się za wariata kogoś, kto w nic nie wierzy. „Najpobożniejszym” w czarnoskórych stanach, gdzie znajdują się rzesze spirytystów i wyznawców szamanizmu (candomble, makumba) – nie wystarczy wiara w jednego Boga. Nie widzą nic zdrożnego w dwuwierze, czyli w uczestniczeniu i w zebraniach spirytualistycznych, i w mszach katolickich.

Brazylijski synkretyzm religijny obejmuje też religie Indian, z mocno rozwiniętym kultem zmarłych i wiarą w kontakty z przodkami, w magię i czary, a wszystko to często bywa pożenione z katolicyzmem.

Wyznawcy Neivy są tylko odpryskiem owego synkretyzmu. Można się z nich podśmiewać, że naiwni, że kiczowaci, ale któż z nas nie jest naiwny wobec Tajemnicy? Kto rozwiązał zagadkę istnienia? Kto ma patent na Rację Ostateczną? Może wszystkie religie i wierzenia, łącznie ze starożytnymi, to tylko przybliżone, metaforyczne odbicie Prawdy o Bogu i Zaświatach na ścianach platońskiej jaskini?

Tak sobie dywagując, siedzimy we czwórce przy argentyńskim winie, a ryby z akwarium Siewierskich, zdają się przysłuchiwać tej wieczornej dyspacie, podpływając do podświetlonych ścian. Kto wie, może mają świętą rację – zachowując w tych i innych kwestiach wstrzemięźliwe milczenie i dystans?

Pochwała ryby

*Gdy inni jeden przez drugiego
Przekrzykują się
We wszystkich możliwych językach
Na wszystkich wieżach Babel*

*One ze stoickim spokojem
Popijając małymi łyčzkami wodę
Przysłuchują się sporom*

*Kiedys
Gdy wyczerpiemy już morze słów
I na samym dnie
Nad nierozwiązaną zagadką świata
Wywiesimy
Białą flagę milczenia –*

*Przez niepokalane
Usta ryby
Przemówi Bóg*

JAKIE SĄ KORZENIE TEGO SYNKRETYZMU?

Biali kolonizatorzy, przyplwając tu, napotykali pierwotnych mieszkańców – Indian. Próbowali ich „używać” do pracy na roli, co na dłuższą metę jednak nie powiodło się, bo ci uciekali do buszu.

Zaczęto więc masowo ściągać czarnoskórych niewolników z Nigerii, Mozambiku, Angoli i Sudanu. Mieli oni swoje wierzenia, rytuały i niechętnie przechodzili na chrześcijaństwo. Oficjalnie przyjmowali religię białych – żeby nie wchodzić w konflikt z panami – ale po cichu czcili za jej pośrednictwem swoich bogów i bożków afrykańskich. Jezusa utożsamiano z Oxalą – najważniejszym bóstwem w hierarchii bóstw afrykańskich, Matkę Bożą – z królową mórz i wód. Szatan otrzymał imię Exu – boga zła.

Autor tekstu, **Józef Baran**,
Poeta, dziennikarz, reporter. Napisał ponad
30 książek poetyckich i eseistycznych,
wydanych w kraju i za granicą.





Hestia Podróże

Pakiet ubezpieczeń na czas podróży

**Uwolnij marzenia
Podróżuj bez obaw**

801 107 107

*opłata za połączenie zgodna z cennikiem operatora

www.ergohestia.pl

ERGO
HESTIA®



Rzeka Ukajali stała się w Polsce sławna dzięki Arkademu Fiedlerowi, który napotkał w niej śpiewające ryby. Już trzecie, a może czwarte pokolenie polskich podróżników fascynują jego opisy przyrody Amazonii oraz życia i obyczajów zamieszkujących w niej Indian. Nic dziwnego, że zainspirowały one Celinę Mróz i Jarka Frąckiewicza do wyprawy, która dla nich zakończyła się tragedią. Tego dnia zapisali na swym blogu: my też chcemy usłyszeć ryby śpiewające w Ukajali. Nie wiedzieli, że będzie to dla nich ostatnia podróż życia. Nie byli pierwszymi, których ta rzeka zawiodła.

UKAJALI – POLSKA RZEKA



W autobiograficznej książce „Wiek męski zwycięski” Arkady Fiedler zwierza się, że do pierwszej podróży do Amazonii natchnął go ojciec, poznański poligraf i wydawca, człowiek odczytany, który przez całe życie pragnął zobaczyć jedną z największych rzek świata. Wtedy w Polsce, mającej nadmiar rąk do pracy i duże bezrobocie rodziła się inicjatywa, o której dyskutowano w sejmie i rządzie. Minister pracy i opieki społecznej Franciszek Sokal nawoływał: „Należy szukać takich terenów emigracyjnych, gdzie warunki pracy i płacy mogłyby być lepsze niż w kraju macierzystym”. Najbardziej odpowiednim terenem do emigracji osadniczej wydawała się Brazylia oraz Argentyna, gdzie od końca XIX w. istniały spore polskie skupiska wychodźcze. Pod uwagę brano też Peru, gdzie rząd rozpoczynał kolonizację olbrzymich obszarów, w tym

puszcz w górnym biegu Amazonki, zamieszkałych przez Indian.

W 1928 r. wyruszyła do Peru grupa delegatów Urzędu Emigracyjnego i Banku Gospodarstwa Krajowego, który miał finansować emigrację rolniczą. Przewodził jej Kazimierz Warchałowski, dobrze znający osadnictwo polskie w Brazylii, który starał się w Limie o odrębną, prywatną koncesję na kolonizowanie peruwiańskiej selwy. Rząd peruwiański zgodził się oddać Polsko-Amerykańskiemu Syndykatowi Kolonizacyjnemu prawa do zagospodarowania miliona hektarów puszczy, a Warchałowskiemu obiecano przekazać 350 tys. ha, pod warunkiem że w ciągu czterech lat sprowadzi do Peru tysiąc rodzin, składających się co najmniej z 3 osób zdolnych do pracy (w wieku 18-45 lat). 150 tys. ha Warchałowski miał prawo sprzedać, aby zdołać środki na pokrycie kosztów transportu

i osiedlenia kolonistów. Światowy kryzys gospodarczy z 1929 r. zniweczył te plany. Syndykat zdołał wyprawić jedynie pierwszą partię 159 osadników, których skierowano do kolonii Cumaria, w środkowym biegu Ukajali. Trafili tam w połowie 1930 r. na teren zupełnie nieprzygotowany. Nie wykarczowano na ich przyjazd lasu, nie wytyczono działek, nie postawiono budynków mieszkalnych i gospodarczych. Do tego większość przybyłych nie miała pojęcia o rolnictwie.

Nieco wcześniej, u zbiegu rzek Tambo i Urubamba, w miejscu gdzie rodzi się rzeka Ukajali stanowiąca główny prawy dopływ Amazonki, pojawił się inżynier Sucharski z kilkunastoma kandydatami na osadników, wśród których był tylko jeden chłopiec pochodzący ze wsi. Przybyli nie mieli pieniędzy, nie potrafili się zorganizować. W 1933 niedoszła polska kolonia

ogłosiła upadłość. W innych miejscach nad Ukajali polscy osadnicy przetrwali do początków 1934 r., potem część z nich została w Peru, większość przeniosła się do Brazylii, reszta na koszt polskiego rządu wróciła do kraju.

Rzeka zawiedzionych nadziei

Jak w te wydarzenia wpisał się Arkady Fiedler? Swoją pierwszą podróż do Ameryki Południowej, do Brazylii odbył w 1927 r. Przywiózł z niej bogate zbiory botaniczne i zoologiczne, które przekazał Muzeum Przyrodniczemu w Poznaniu i innym placówkom naukowym. Marzenie o Amazonii zdołał urzeczywistnić w 1933 r. Plonem tej właśnie wyprawy była książka „Ryby śpiewają w Ukajali”, która przyniosła mu międzynarodową sławę. Przetłumaczono ją na 14 języków. Osadników polskich nad rzeką zawiedzionych polskich marzeń zastała zaledwie kilku. Zamieszkała u jednego z nich, nazwiskiem Baranowski. Reszta nie zniosła ciężkich warunków, jakie narzuciła im selwa. Napisał z gorącością: „marząc o lepszym jutrze ponieśli sromotną klęskę”. Całą uwagę skupił zatem na niezwykłym świecie amazońskiej dżungli. Poznawał go, płynąc pod prąd z Iquitos na starym statku parowym dowodzonym przez norweskiego kapitana. Celem była miejscowość Cumaria, do której Celina Mróz i Jarek Frąckiewicz nie zdołali dotrzeć, zamordowani na samym początku Ukajali zaraz po opuszczeniu miasta Atalaya, do którego przez trudne zakole podholowała ich indiańska piroga na motoru. 26 maja dokonali ostatniego wpisu na swym blogu: „Dzisiaj rozpoczynamy spływ na Ukajali. Zobaczmy, jak będzie nam szło. Jeżeli do osady Bolognesi dopłyniemy w ciągu tygodnia, to damy radę dotrzeć do Pucallpa w terminie”. Następnego dnia nie żyli.

Jak śpiewały ryby?

Cumaria leży między Atalają a Pucallpą, w której statek Fiedlera się nie zatrzymał. Po dotarciu do niej naszego podróżnika powitała „kipiąca, pijana puszcza, tu, niedaleko podnóży Andów, najbujniejsza... Kłęb zieleni, ostawiony raj przyrodnika. Tu nareszcie wejść do środka puszczy i poznać jej życie”. W wodach Ukajali usłyszał najpierw nie śpiew ryb, ale sapanie półtorametrowych rzecznych delfinów zwanych bufeo. Gdy następnego dnia, w miejscu gdzie do Ukajali wpływa rzeka Binuja, przesiadł się do indiańskiej pirogi, ujrzał pierwszego kajmana, wypoczywającego na błotnistej kępie. Potem było spotkanie ze straszliwie jadowitym wężem czuszupi, postrachem ukajalskich lasów. Śpiewające ryby usłyszał w pobliżu chaty Baranowskiego, gdy słońce zachodziło po burzli-

wym dniu i w powietrzu oraz na wodzie panowała zupełna cisza. „Nagle rozległ się spod wody cichy, ale wyraźny dźwięk dzwonu, potem dwóch dzwonów, potem kilkunastu”. Dźwięki miały kilka wyższych i niższych tonacji, niektóre dobiegały z daleka, jeden było słychać wprost spod czołna, przymocowanego u brzegu. „Śpiew – jeśli można to tak nazwać – był tak osobliwy i harmonijny, że mimo woli wywoływał nastrój sennej halucynacji”. Fiedler jako przyrodnik podał nazwę tych ryb, należących do rodzaju Umbrina i wyjaśnił, że ich pęcherz składa się z kilku komór. Przecho-dzące z jednej do drugiej komory powietrze wywołuje wibrację ścianek pęcherza i tak rodzą się te dziwne dźwięki.

Świadectwo kajakarza, który przepłynął Ukajali

Od Cumarii, po wypłynięciu z Atalayi, dzie- liło Celinę i Jarka jakieś dwieście kilometrów. Nie wiemy nawet, czy chcieli się w niej zatrzymać. Jeśli mieli ze sobą książkę Fiedlera, z pewnością pragnęliby posłu- chać rybiego koncertu. Podążali, w odróż- nieniu od niego, w dół Ukajali. Tak samo jak Piotr Chmieliński, który w 1985 roku przepłynął jako pierwszy w historii całą Amazonkę, od źródła aż do ujścia. Oni początkowo zamierzali przepłynąć tylko rzekę Urubamba, jeden z dopływów Ukajali. Wystartowali z miejscowości Quillabamba, leżącej w górskiej dżungli na wysokości 1080 m n.p.m. W Atalayi początkowo zamierzali zakończyć swój spływ. Ale tam nie śpiewały ryby. Dlatego jeszcze przed wy- lotem do Peru postanowili wydłużyć pierwotnie zaplanowaną trasę. Zaczęli zbierać informacje o warunkach kajakowania na Ukajali. Przeczytali książkę „Z nurtem Amazonki”, której autor, znany amerykański pisarz i podróżnik Joe Kane, opisał spływ Chmielińskiego, w którym towarzy- szył mu na wodzie na znacznym odcinku. Wiedzieli, że w drodze do Pucallpy będą musieli pokonywać wirowe prądy, kręcące kajakiem w kółko, omijając dryfujące pnie drzew zmytych z brzegu do rzeki, płynąc przez okolice, w których trudno będzie się dopatrzyć śladu człowieka. Wszyst- ko to ich podniecało, ale wykazali dużą odpowiedzialność, wypytali szczegó- łowo Chmielińskiego o Urubambę i Ukajali. Rozmawiał z nimi kilkakrotnie, ostatni raz na wręczeniu „Kolosów”. Na moje pyta- nie, jakich zasięgał rad, odpowiedział ze Stanów Zjednoczonych: „Znałem ich od lat. Początkowo chcieli popłynąć na rzekę Usumacinta w Meksyku, ale ze wzglę- du na problemy z gangami i niepokojami w tym kraju zdecydowali się na Peru. Na Kolosach w Gdyni rozmawialiśmy o ich planach na Peru. Jak zwykle, przygotow-

wali się bardzo rzetelnie do tego wyjazdu. Doradzałem im, aby przez najtrudniejsze miejsce na rzece Urubamba, zwane „Pon- go de Mainique”, nie przepływali swoim kajakiem, ale wynajęli lokalną łódź i wraz z nią popłynęli w dół. Tak też zrobili. Wyni- ka z tego, że byli ostrożni i nie podejmowali zbyt wielkiego ryzyka. Ostateczną decyzję o płynięciu do Pucallpy podjęli w Atalayi, gdy okazało się, że mają wystarczającą ilość czasu, by zdążyć do Limy na samolot, którym zamierzali opuścić Peru 20 czerw- ca. Celina i Jarek nie popełnili żadnego błędu. Nikomu nie przeszkażali, trafili na bandziorów, którzy chcieli ich ograbić, co mogło im się przytrafić na Sanie pod Przemysłem albo na rzece w Indiach, którą przepłynęli rok wcześniej. Na Urubambie zatrzymywali się kilka razy na terenie wio- sek indiańskich, nie mieli problemów, byli mile widziani. Tylko raz nie pozwolono im rozbić namiotu, więc spokojnie odpłynęli. Zapomnieli jednak o wózku na kajak, po który wrócili rano. Tym razem wioska przy- jęła ich z otwartymi ramionami. Wiedzieli więc, jak się dogadać z miejscową ludno- ścią. Z bandytami nie mieli szans”.

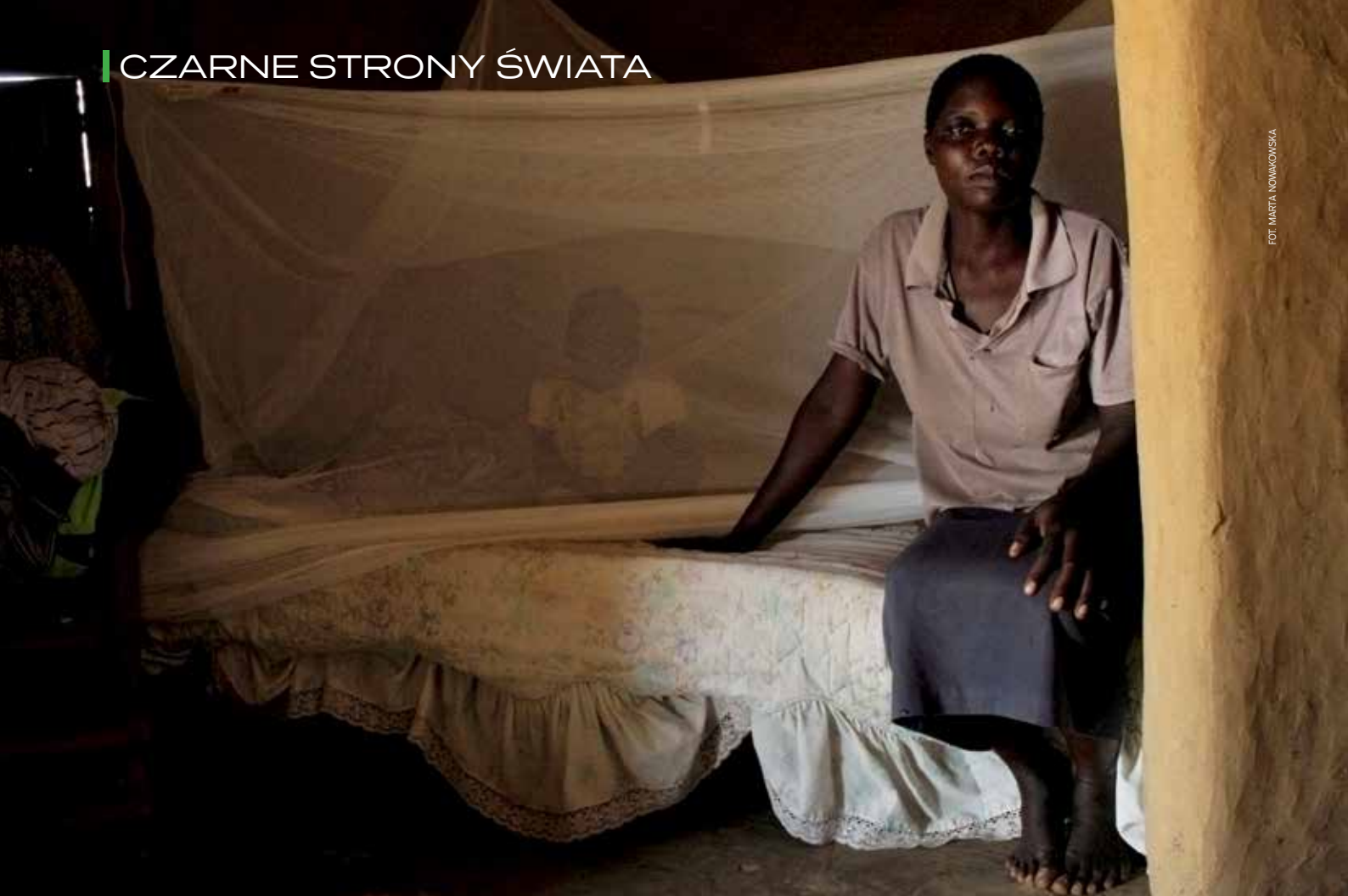
Przyjaciele Celiny Mróz i Jarosława Frą- ckiewicza, którzy uruchomili w Polsce ak- cję poszukiwawczą, otrzymali znaczące wsparcie pieniężne i organizacyjne od zdo- bywcy Amazonki oraz Andrzeja Piętow- skiego, który ujarzmił z wyprawą kajakarzy z krakowskiego klubu „Bystrze” słynny Kan- nion Colca w Peru. Teraz polscy kajakarze osiedli w Stanach Zjednoczonych poparli projekt uczczenia pamięci Celiny i Jarka za- proszeniem ich rodzin i znajomych do Peru na spływ rzeką Ukajali z Atalayi do Pucal- lpy. Trasą, której nie zdołała ukończyć para kajakarzy z Gdańska. Przygotowany wspólnie z indiańskimi wspólnotami z nad rzeki, z dłuższymi pobytami i noclegami w indiańskich wioskach. Dla pokazania, że nie wszyscy Indianie to mordercy, a nie wszyscy biali to ich krzywdziciele i wrogo- wie. Na pomysł ten wpadł Tomasz Surdel, który wytropił sprawców mordu i przyczy- nił się do ich schwytania. Andrzej Piętowski obiecał nagłośnić ją w Stanach Zjednoczo- nych. Do skrzykujących się w tej sprawie polskich kajakarzy i podróżników miesz- kających w obu Amerykach oraz w kraju napisał: „Nie można poddawać się śmierci i tragedii. Jarkowi i Celinie z pewnością spodobałoby się wspólne zakończenie ich spływu-marzenia”. Wspaniały pomysł. Jeśli można coś do jego słów dodać, to propozycję, aby odąd Kolosy wręczone wodniakom nosiły imię Celiny Mróz i Jarosława Frąckiewicza. Niech przypominają, że Ukajali, rzeka dwa razy dłuższa niż Wi- śła, to nadal, mimo wszystko, także polska rzeka.



Malaria – afrykańska codziennność

Marta Nowakowska

Malaria, zwana też „zimnicą”, w Polsce postrzegana jest jako element opowieści podróżniczych, choroba krajów Trzeciego Świata, wycinek rzeczywistości, który nigdy do nas nie dotrze. W Ugandzie zabija 320 osób dziennie, ale i u nas zdarzają się jej śmiertelne przypadki. Dlatego warto się jej bliżej przyjrzeć.



POD BEZPIECZNĄ SIATKĄ

W chatkach z gliny i krowiego łajna jedynie moskitiera może uchronić przed zabójczymi komarami.

W potocznym rozumieniu wprawdzie choroba ta źle się kojarzy – mówi się przecież „brud, syf i malaria” – ale do zdefiniowania zagrożenia jest jeszcze daleko. Tymczasem w naszym kraju przybywa osób chorujących na malarię. I umierających – gdyż lekarze nie wiedzą lub nie wierzą, że mogą leczyć przypadek malarii. Jedna z kobiet, spotkanych na szczepieniach przeciwko różnorakim chorobom tropikalnym, tak opowiadała o przypadku malarii, odnotowanym dwa lata temu na Dolnym Śląsku: – Mąż z przyjacielem pojechali do Afryki Równikowej. Słyszeli o malarii, ale uznali, że kupując moskitiery, pijąc butelkowaną wodę i myjąc ręce, dostatecznie się zabezpieczają. Po powrocie przyjaciel męża zaczął chorować, po pół roku zmarł w szpitalu. Nikt, łącznie z lekarzami, nie podejrzewał malarii.

Malaria jest chorobą zakaźną, na którą co roku na świecie zapada ponad 220 mln osób, a umiera od miliona do trzech (głównie dzieci poniżej 5. roku życia, z Czarnej Afryki). Zachorowania poza terenami tropikalnymi i subtropikalnymi, gdzie ta choroba występuje endemicznie, odnotowuje się

u osób powracających z tych regionów, a także sporadycznie w pobliżu lotnisk i portów, gdzie zostają zawleczone komary z rodzaju *Anopheles*. Malaria występuje w ponad stu krajach strefy tropikalnej i subtropikalnej; na zachorowanie narażone jest około miliard ludzi.

Malaria to choroba Afryki Subsaharyjskiej. Częściowo wolne od niej są jedynie Afryka Południowa i Lesotho. W najgorszej sytuacji są kraje Afryki Równikowej, gdzie brakuje nie tylko funduszy, ale i woli warstw rządzących do walki z malarią. 85% ofiar tej choroby to właśnie dzieci afrykańskie

W XIX wieku malarię uznano za chorobę społeczną i próbowano ją zwalczać. W Europie i Ameryce się to udało. Spadek zachorowań łączył się z poprawą opieki zdrowotnej i poziomem higieny. Zadbano o budownictwo umożliwiające szczelne odizolowanie ludzi od malarycznych komarów. Zmiany gospodarcze wymuszały osuszenie mokradeł pod pola uprawne. To jawny dowód, iż „lekarstwem” na malarię jest rozwój społeczno-gospodarczy – nie tylko określonego kraju, ale całego kontynentu...



Uganda, pod względem umieralności na malarię, zajmuje wśród państw afrykańskich trzecie miejsce, po Nigerii i Demokratycznej Republice Konga. Choroba zabija tam 320 osób dziennie (ponad 115 000 rocznie). Oblicza się, że osoba żyjąca w obszarze Apac, niedaleko jeziora Koga, rocznie narażona jest na 1500 zakażonych ukąszeń.

DAŻYMY DO POKONANIA MALARII W CIĄGU KILKU NAJBLIŻSZYCH LAT

Ugandyjski minister zdrowia przyznaje, że malaria jest problemem. Nie tylko społecznym, ale również ekonomicznym, gdyż osoby chore opuszczają nawet 170 dni w pracy w ciągu roku, co naraża państwo na straty rzędu milionów ugandyjskich szylingów. Uznaje się, że malarię ma 90% społeczeństwa. Dr Peter Okui, zastępca rzecznika ds. Kontroli Malarii w Kampali twierdzi, że jej pokonanie wymaga jeszcze kilku lat.

– Prowadzimy szeroko zakrojone akcje prewencyjne, w szkołach uczy się dzieci o zabezpieczeniach przed ukąszeniami komarów i o możliwościach leczenia. Staramy się przede wszystkim uczyć tzw. grupy wysokiego ryzyka, czyli kobiety w ciąży oraz dzieci do piątego roku życia. Coraz więcej szpitali posiada mikroskopy, umożliwiające szybkie zdiagnozowanie choroby i rozpoczęcie leczenia. Na walkę z malarią przeznaczają się 15% budżetu państwa. Jak wynika ze statystyk, w 2010 roku zmarło na nią mniej osób, niż w 2009. Oznacza to, że państwu udaje się zwalczać jej skutki. Wyzwaniem ciągle jest zapobieganie chorobie. Brakuje szczepionek, a edukację utrudnia różnorodność języków lokalnych. Nie sposób przez to zorganizować ogólnokrajowej akcji szkoleniowej. Stworzyliśmy tzw. Village Health Teams, czyli pięcioosobowe zespoły wolontariuszy, mająca za zadanie w każdej wiosce tłumaczyć, czym jest malaria, i przedstawiać możliwości zapobiegania jej oraz leczenia. By nie stwarzać problemów komunikacyjnych, wybieramy reprezentantów miejscowych środowisk kulturowych. Leczenie, według zapewnień rządu, jest darmowe.

W SZPITALU

Spadek zachorowań na malarię łączy się z poprawą opieki zdrowotnej i poziomu higieny. Jednak malaria dotyka najczęściej tych, których nie stać na dojazd do szpitala i leczenie.

POZOSTAJE NADZIEJA

Tak niewiele trzeba,
by zwalczyć malarię.

WSZYSCY MAJĄ MALARIĘ

Malaria? Wszyscy mają malarię. W tej wiosce i w tych opodal. Każdy, kogo znam. W każdej rodzinie umarło na nią przynajmniej jedno dziecko. Tego nie da się uniknąć – twierdzi Nyigaga, jedna z mieszanek wioski Bukanga, niedaleko miasta Jinja. Młody mężczyzna dodaje: – Cały czas chorujemy, przez co tracimy pracę. Lekarstw jest mało, a do tego drogich. Radzimy sobie wywarem z lokalnego grzyba lub różnych liści, ale nie bardzo to skutkuje. Starszy mężczyzna uzupełnia: – Kiedy choruję, muszę kupować leki w sklepie, a te albo są przeterminowane, albo w ogóle ich nie ma. Do szpitala daleko, a dojazd wiele kosztuje. W Bukanga istnieje Ośrodek Medyczny, mający służyć mieszkańcom 43 okolicznych wiosek. To jednak wielki,

pusty budynek. Leki dowożą tam raz na kwartał, niezależnie, czy pora sucha, czy deszczowa. Zwykle nie starcza ich dla potrzebujących. W ośrodku brak jest środków dla najmłodszych dzieci – tych poniżej 3. roku życia. Są to tylko leki na tzw. terapię pierwszoliniową. Trzymiesięczny budżet tej placówki to ok. 600 euro na wszystkie leki potrzebne szpitalowi. Pracownicy starają się uczulić ludzi, by od zmierzchu do świtu trzymali okna i drzwi zamknięte, blokując dostęp komarom. W ośrodku nie ma ani jednego mikroskopu, niemożliwe jest więc rozpoznanie u chorego malarii. Dlatego wszystkich lekarzy szkoli się tak, by za jej objaw uważali każdą gorączkę. To zaś, w konsekwencji, prowadzi do uodpornienia chorego na działanie leków, zabójczego, gdy naprawdę będzie ich potrzebował.

ŚMIERĆ W LICZBACH

Pośród tysiąca dzieci, które przeżyły swój pierwszy rok życia, 152 umiera nie doczekawszy piątych urodzin.



UCZĄ I POMAGAJĄ

To oni, wolontariusze z Village Health Team, uczą, jak chronić się przed komarami, i tłumaczą, do czego służą moskitiery.

JEŚLI ZACHÓD NIE DA NAM PIENIĘDZY NA WALKĘ Z MALARIĄ, BĘDZIE WINNY ŚMIERCI AFRYKAŃCZYKÓW

Jimmy Opigo (Centrum Pomocy Medycznej w Moyo, Północna Uganda) przyznaje, że „malaria jest problemem Afryki. Staramy się ją zwalczyć, ale sami sobie nie poradzimy. Jesteśmy całkowicie zależni od fundacji Global Fund. Gdy zmniejszają nam dofinansowanie, automatycznie nie mamy środków na walkę z tą chorobą. Problem stanowi też niewiedza ludzi, niezdających sobie sprawy z zagrożenia, jakie niesie malaria, z wysokiej śmiertelności, jaką powoduje. Moja rodzina została dobrze przeszkolona. Wiemy, jak używać moskitier, jak chronić się przed komarami – dlatego nikt z nas nie ma malarii.

Szkolenia w Moyo prowadzą wolontariusze z Village Health Team. Tłumaczą, kiedy trzeba poddać się badaniu; do czego służą moskitiery. Ludzie słuchają, a później... wracają do swoich domostw. Małych, glinianych domków. Często bez okien. A tam śpi po kilkunastu domowników. Jeśli w domu są dwie moskitiery, najczęściej pod jedną śpią rodzice, pod drugą – czwórka, piątka, szóstka dzieci. O ile w ogóle mają moskitiery. Bo chociaż

w założeniu miały być bezpłatne, darmowej nikt tu nie otrzymał. A cena używanej moskitiery to równowartość dwudniowej porcji jedzenia dla przeciętnej rodziny. Wybór jest prosty – jeść trzeba.

Nikt nie przeczy, że malaria to dla Afryki problem, pytanie tylko brzmi: jak z nią walczyć? Z wypowiedzi osób odpowiedzialnych za rozwiązanie tej kwestii wynika jeden, prosty wniosek: owszem, malaria jest problemem, tyle że państwa Trzeciego Świata muszą rozstrzygnąć też inne, ważniejsze dla nich kwestie. – Jeżeli więc wy, ludzie Zachodu, sfinansujecie nam rozwiązanie tego akurat problemu, bardzo nam pomożecie. Jeśli nie – trudno. Afrykańczycy umierają na malarię od wieków i jakoś jeszcze nie wymarli.

Malaria to w Afryce codzienność. Wszyscy mają malarię. To uogólnienie trzeba jednak uściślić – to choroba ludzi biednych. Mieszkających po wsiach, w chatkach z gliny i krowiego łajna. Tam, gdzie nie ma możliwości zamknięcia na noc drzwi i okien. Tam, gdzie jeśli nawet jest moskitiera, to pod jedną śpi cała rodzina. Malaria dotyka ludzi, których nie stać na dojazd do szpitala i leczenie. Możliwe, że badania nad szczepionką przeciw malarii, prowadzone w Mozambiku, w najbliższych latach przyniosą efekty. Na pewno jednak nie będzie to szczepionka darmowa. Uboga większość Afrykańczyków nadal więc będzie chorować. I umierać. ○



The **WOLF BUFF** is a sporty and active headwear that is designed to keep you warm and dry in all weather conditions. It is made from a soft and comfortable material that is also very durable and long-lasting. The **WOLF BUFF** is available in a variety of colors and patterns, making it a great choice for anyone who loves to stay warm and dry in the outdoors.

WOLF BUFF IS A REGISTERED TRADEMARK OF BUFF LTD. © 2018



WOLF BUFF is a versatile and durable headwear that is designed to keep you warm and dry in all weather conditions. It is made from a soft and comfortable material that is also very durable and long-lasting. The **WOLF BUFF** is available in a variety of colors and patterns, making it a great choice for anyone who loves to stay warm and dry in the outdoors.

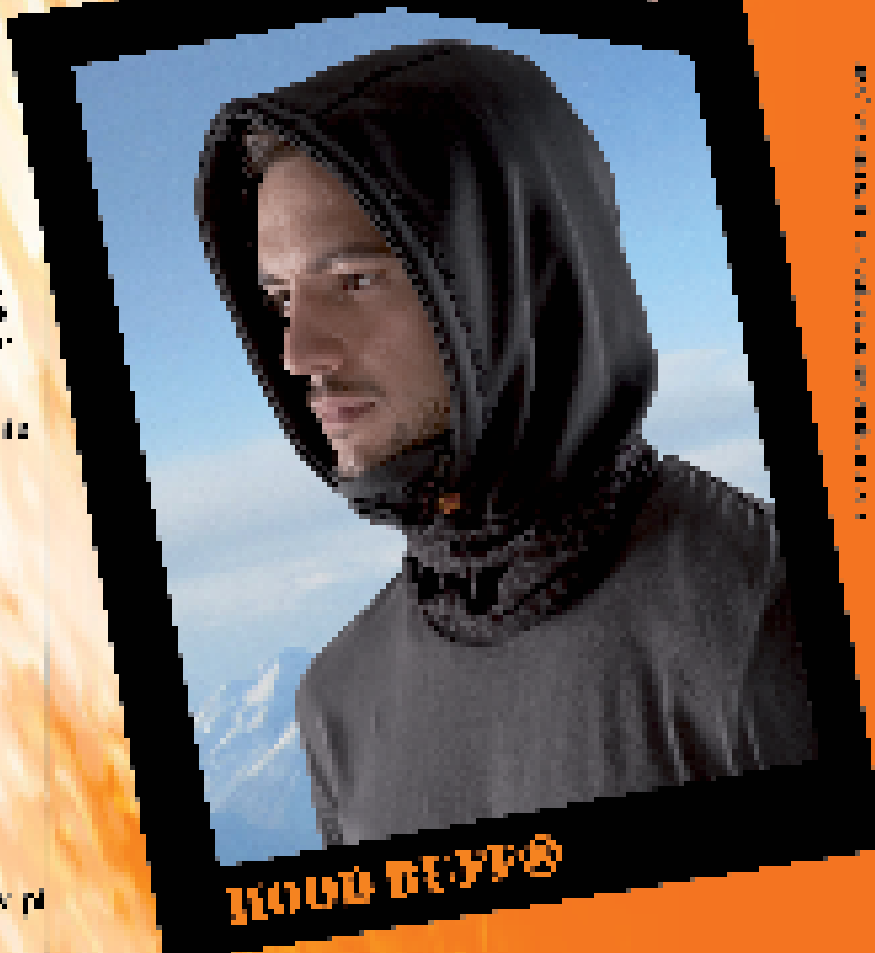
WOLF BUFF IS A REGISTERED TRADEMARK OF BUFF LTD. © 2018



WOLF BUFF is a versatile and durable headwear that is designed to keep you warm and dry in all weather conditions. It is made from a soft and comfortable material that is also very durable and long-lasting. The **WOLF BUFF** is available in a variety of colors and patterns, making it a great choice for anyone who loves to stay warm and dry in the outdoors.



WOLF BUFF®



WOLF BUFF®

© 2018 BUFF LTD. ALL RIGHTS RESERVED.

Trzy dni stypy i pogrzeb

Piotr Kloczkowski

Pierwsze pojawiają się świnie. Unieruchomione w przemysłnej konstrukcji z bambusów, wędrują prawie jak w lektyce. Są podarunkiem od gości, którzy przybyli do wioski Buntao na ceremonię pogrzebową, charakterystyczną dla Tana Toradża, górskiego regionu indonezyjskiej wyspy Celebes.





NAJPIERW DO FISKUSA

Zanim wieprzek zostanie zarżnięty na stypę, trafia do urzędnika w celu naliczenia podatku.

FOT. PIOTR KUCZOWSKI

Ceremonia, która potrwa trzy dni, niedługo się rozpocznie. Nas również na nią zaproszono. Czujemy się wyróżnieni. Wnuk zmarłego, Serante, i jego małżonka troszczą się o nas – obcych im ludzi – bardziej niż na to zasługujemy.

Prosiaki, zanim trafią na główny plac, czeka rejestracja w zaimprovizowanym biurze, gdzie zgodnie z wytycznymi rządowymi pobrany zostanie podatek od darowizny. Sama darowizna stanowić będzie wkład w zaopatrzenie kuchni. Zgodnie

z tradycją, będą też inne podarunki: papierosy, tytoń i wino palmowe. Część z nich przyda się podczas tych uroczystości pogrzebowych, resztę gospodarze zachowają na czas, gdy sami zostaną zaproszeni na czyjś pogrzeb. Tego rodzaju prezenty przechodzą bowiem z rąk do rąk. Może się więc zdarzyć, że część dziś ofiarowanych dóbr wróci kiedyś do ich pierwszego właściciela.

Zanim zacznie się ceremonia, kwiczące podarki znajdą swe miejsce na środku placu, a złożony z gości orszak zajmie przygotowane specjalnie na tę okazję boksy.

POGRZEB, NA KTÓRY TRZEBA POCZEKAĆ

Choć brzmi to dość paradoksalnie, śmierć jest w życiu Toradźów kluczowym wydarzeniem. Ważniejszym niż ślub czy narodziny.

Kiedy dowiadujemy się, że boksy dla gości postawiono przed miesiącem, dziwi nas, skąd wiedzieli, kiedy krewny umrze. Rzeczywistość przerosła nasze oczekiwania: dziadek Serante, dożywszy 105 lat, zmarł przed rokiem i od tamtej pory – zabalsamowany, w zamkniętej trumnie – czekał





CZASZKI PRZODKÓW

Gdy trumny spróchnieją, kości się rozsypią, a potomnych nie stać na nową trumnę, wtedy szczątki zmarłych gromadzi się w kamiennych szczelinach. Papierosy to typowy prezent dla zmarłych.

w centralnym punkcie domostwa, aż rodzina zbiera środki na przeprowadzenie pochówku. W budowie boksów, z bambusów i blachy falistej, pomogli sąsiedzi z wioski i zostali za to zaproszeni na uroczystość pogrzebową. To rodzaj niepisanej umowy. Skoro zorganizowanie ceremonii zwykle przerasta możliwości jednej rodziny, Toradza chętnie przyjmuje pomoc. Sam też nią w potrzebie służy. Po uroczystościach boksy trzeba będzie rozebrać i złożyć pod wzniesionymi na palach domami, gdzie będą czekały na następny pogrzeb.

Ceremonia oficjalnie zacznie się dopiero około jedenastej, ale praca we wsi wre od samego rana. Kobiety przygotowują powitalny poczęstunek. Złoży się na niego kilka rodzajów ciasteczek i herbata jaśminowa, przeraźliwie słodka i wyjątkowo słaba.

Do naszej „zagrody” raz po raz zagląдают Serante lub jego żona pytając, czy niczego nam nie brak.

Przepraszają, że zamiast nami, muszą się zajmować sprawami organizacyjnymi, w tym witaniem setek gości.

Pojawiają się też inni turyści, uczestnicy zorganizowanych wycieczek, skuszeni możliwością spożyczenia z bliska na egzotyczny rytuał.

NIECODZIENNE OBYCZAJE

U Toradźów za zmarłego uznaje się dopiero kogoś, kto został prawidłowo pochowany. Do tego czasu rodzina traktuje go jak chorego. Przynosi mu posiłki, mówi do niego.

Dziś przyszła pora, by na zawsze się z nim pożegnać. Wszyscy przeżywają wielki smutek, ale i cieszą się z rodzinnego spotkania.

– *Toradzańskie rodziny są bardzo liczne – wyjaśnia Serante. – Pogrzeb to najlepsza okazja, by się policzyć.*

STYPA

Mięso ze szpinakiem i chili, serwowane w bambusowych rurkach, to główne danie uroczystości.



FOT. POITR KLUCZKOWSKI



Większość spotkanych przez nas Indonezyjczyków nawet nie zna daty swoich urodzin. Gdy wymagane jest jej podanie, na przykład przy wystawianiu paszportu, wymyślają ją na poczekaniu.

Swinie, jedna po drugiej, znikają z placu. Co chwilę grupa mężczyzn chwytą bambusową „lektykę” i rusza z kwiczącym łądunkiem w las. Wracają już z mięsem, które potem krojone jest na kawałki i wraz z papryczkami chilli oraz liśćmi wodnego szpinaku, upchane do bambusowych rurek, układanych na palenisku. Tak przyrządzone, serwuje się z ryżem.

ROZSTRZYGANIE SPORÓW

Korzystając z uprzejmości Serante, staramy się poznać bliżej kulturę Toradźców. Ciekawe rozwiązania proponowało toradżańskie prawo. Spory cywilne rozpatrywano dawniej w trzech instancjach. Nie tylko pozwalały one ustalić winnego, ale i dostarczały pierwszorzędnej rozrywki postronnym obserwatorom.

Rozstrzygnięcie w pierwszej z nich, służącej rozwiązywaniu sporów mniej skomplikowanych, jak choćby o prawo własności niewielkiego skrawka ziemi nad rzeką, opierało się o wynik walki ko-

gotów. Wygrywał człowiek, którego reprezentował zwycięski ptak – sprawniejszy, silniejszy w dziobie lub po prostu mający więcej szczęścia.

Drugą instancją była próba wody. Zwycięzcą w sporze pozostawał ten, kto zanurzony w studni po czubek głowy, wytrzymał dłużej. Jeśli i tę metodę z jakiegoś powodu uznano za nie dość miarodajną, pozostawała najwyższa instancja – próba wrzątku. Przedstawiciele każdej ze stron mieli okazję dowieść swojej racji, heroicznie zanurzając dłoń w kipiącej wodzie. O ile na pierwszym etapie decydowały czynniki niezależne od człowieka, obie pozostałe metody stwarzały okazję do wykazania się determinacją, zapewne tym silniejszą, im bardziej pewny swoich racji był poddawany próbie delikwent.

Egzotyka i barbarzyństwo? Tylko, jeśli chodzi o procedury. Również u nas werdykt sądowy odzwierciedla nie tyle absolutną prawdę, co raczej to, co strony zaangażowane w spór są w stanie przekonać udowodnić.

ZAPADA ZMROK

Część gości wróciła już do domów, pozostali umilają sobie czas rozmową, żartami i grą w domino,

KONDUKT POGRZEBOWY

W ostatniej drodze towarzyszą zmarłemu najbliżsi i sąsiedzi z okolicznych wiosek.



FOT. PIOTR KŁOCZOWSKI



FOT. PIOTR KŁOCZOWSKI

niespiesznie popijając wino palmowe. Kiedy wydaje się, że uroczystość dobiega końca, a ludzie za chwilę ułożą się do snu, na placu rozpoczyna się rytualny taniec. Grupa mężczyzn i kobiet kroczy powoli po okręgu, zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, raz po raz wznosząc ramiona. Towarzyszący temu tańcowi śpiew wydaje nam się nieartykułowanym zawodzeniem. Później dowiemy się jednak, że była to pieśń o życiu bohatera tej ceremonii.

Tanec, wino palmowe i rokok (papierosy)... Tutaj wszyscy mężczyźni palą produkowane w Surabaya kreteki. Jeśli nie palisz, jesteś ladyboy.

te. Zaprasza do spędzenia nocy w najbardziej honorowym dziś miejscu – w izbie, w której spoczywa nieboszczyk. Przypomina mi się młody człowiek, spotkany przez nas kilka dni wcześniej na przystanku autobusowym w Makasarze. Twierdził, że Toradżowie umieją sprawić, iż „mumie zaczyna ją chodzić”. Właściwie nie wiem, co miał na myśli, ale w mrocznej izbie, gdzie stoi trumna, czuję się co najmniej nieswojo.

Kładziemy się na podłodze z desek. Próbuje my zasnąć. Po chwili do izby wchodzi rodzina zmarłego. Jeden z przybyłych, usiadłszy obok trumny,

GOŚCIE MUSZĄ SIĘ NAJEŚĆ

Im więcej przelanej krwi bawołów, tym szybciej dusza zmarłego trafi do raju. A im więcej wołowiny, tym ucztę wystawniejsza.



Kreteki to indonezyjskie papierosy, w których skład, prócz tytoniu, wchodzi... goździki. Nazwa pochodzi od dźwięku, jaki wydaje żarząca się mieszanka. Wino palmowe smakuje jak serwatka połączona z alkoholem. Czy taka kombinacja może być smaczna? Cóż... de gustibus non est disputandum.

To zestawienie środków odurzających działa kojąco. Zaczynamy szykować się do snu, ale w naszym skromnym boksie pojawia się Seran-

wyciąga zza pazuchy flet.

– *On jest niewidomy, ale ma dar od Boga* – mówi Serante.

Melodia nie przypomina niczego, co kiedykolwiek słyszeliśmy. Urywana, tkliwa, tajemnicza. Zmęczenie bierze górę, więc mimo całonocnego niemal koncertu i twardego podłoża, zapadamy w głęboki sen.

OFIARA Z KRWI

Toradźowie, To-ri-aja, czyli Ludzie Gór, są bardzo przywiązani do tradycji. W przypadku naszych gospodarzy oznacza to połączenie dość powszechnego tu chrześcijaństwa z prastarymi wierzeniami animistycznymi. Stąd długo wyczekiwany moment ceremonii – ofiara z bawołów. Drugiego dnia rano ten krwawy los spotyka siedem dorodnych zwierząt...

Toradźowie wciąż stosują się do starotestamentowych zaleceń, według których „bez przelania krwi nie ma odpuszczenia grzechów”. Współgrają one z przekonaniem wynikającym z indonezyjskiego animizmu.

Aluk-To-Dolo – „Religia Ludzi, Którzy Odeszli”, bądź „Droga Przodków” – opiera się o prosty schemat świata. Na samym dole jest świat podziemny, w którym króluje puang lalandong – władca pod postacią koguta, sędziego zmarłych. Na południowym zachodzie, ponad naszym światem, zwany u nich Lino, znajduje się Puya, Drugi Raj. Według Serante, ofiary z bawołów gwarantują, że dusza zmarłego powędruje prosto do Puya. W przeciwnym wypadku groziłoby jej uwięzienie na ziemi. Toradźowie wierzą, że ich pośmiertne życie podobne będzie do tego, jakie wiodą w świecie

doczesnym. Żeby niczego im nie brakowało, ceremonia pogrzebowa musi więc być bogata.

Urządzenie takiego pogrzebu ze stypą to wydatek mniej więcej stu milionów rupii indonezyjskich, czyli około trzydziestu dwóch tysięcy złotych. Kwota niebagatelna, zważywszy na skromne, w porównaniu z europejskimi, zarobki górali z Tana Toradża. Dlatego bywa, że na ceremonię pogrzebową oszczędza się nawet i dziesięć lat!

POŚMIERTNA FIGURKA

Trzeciego dnia nieboszczyk, odprowadzany przez korowód gości, odbywa ostatnią wędrówkę – niesiony jest do skalnej grotty w pobliżu wioski. Właśnie w takich grotach, zwanych Liang, Toradźowie od setek lat chowają zmarłych. To miejsce pochówku zapewni zmarłemu spokój, a złotu, kamieniom szlachetnym i innym kosztownościom, towarzyszącym mu w ostatniej podróży, pełne bezpieczeństwo.

Dopelnieniem ceremonii pogrzebowej jest umieszczenie przed grobowcem, na specjalnie skonstruowanym balkonie lub wykutej w skale platformie, drewnianego awataru zmarłego. ○

ŁOŻA HONOROWA

Tych, którzy odeszli, przypominają drewniane kukły.





alpinus



Testowane przez:



Vertigo HTX

Legendarne dzięki trwałości i wygodzie podczas wędrowania w najcięższych warunkach...

Podeszwa zewnętrzna Vibram® Hiking bardzo przyczepna na kamienistym i mokrym podłożu, równocześnie odporna na ścieranie. Bieżnik podeszwy o grubej rzeźbie posiada właściwości samoczyszczące. Śródpodeszwa amortyzująca ICS doskonale sprawdza się w trudnych warunkach, docenisz ją zwłaszcza niosąc ciężki plecak. Cholewka wykonana z grubej, licowanej skóry o grubości 2,2mm w połączeniu z minimalną ilością szwów oraz laminowaną do podszewki sprawdzoną membraną Hydrotex © FXT skutecznie zabezpieczy twoje stopy przed przemoczeniem.



www.alpinus.pl

ALPINUS UBIERA POLSKĄ REPREZENTACJĘ WE WSPINACZCE SPORTOWEJ

Odchodzące plemiona



World Wide Tribes Heritage

W dobie globalizacji świat powoli zatracą różnorodność. Każdego dnia kolejni członkowie grup etnicznych opuszczają rodzinne wioski, decydując się porzucić wierzenie, język i styl życia przodków, dla wygody nowoczesnego życia w wielkim mieście.

Misją fundacji „**World Wide Tribes Heritage**” jest zachowanie w pamięci zwyczajów i obyczajów tych zanikających grup etnicznych, zbieranie informacji na ich temat oraz tworzenie bazy fotograficznej, dokumentujących stroje, rzemiosło, warunki życiowe i środowisko naturalne, w którym żyją. Jest to więc kulturowe, naukowe i edukacyjne zaangażowanie w dziedzictwo ludzkości.

Fundacja chce przyczynić się do szerzenia wiedzy na temat sytuacji i warunków życia ginących plemion i grup etnicznych, przekonując, że ich ochrona przed globalizacją i unifikacją to jedyna szansa na zachowanie tych tradycji i kultur dla przyszłych pokoleń. Zamierza też zebrać dokumentację, w tym zdjęcia i mapy, aby zapewnić etnologom, antropologom i historykom dostęp do autentycznych źródeł.



FOT. WILLIAM GAENADOUX

Czarny Hmong z północnego Wietnamu. Hmongowie to grupa etniczna, zamieszkująca góryste regiony północnej części Półwyspu Indochińskiego, przede wszystkim Wietnamu, Laosu i Tajlandii. Od XVIII wieku plemię to stopniowo emigrowało ze środkowych Chin na południe, z powodów politycznych oraz w poszukiwaniu bardziej urodzajnych ziem.



FOT. WILLIAM GAGNADOUX

Niektórzy Hmongowie nazywani są Kwietnymi, ze względu na hafty w jasnych barwach. Bluzy szyte są z ciężkiej satyny, aksamitu lub sztucznego, wzorzystego weluru, haftowanego mechanicznie, wokół szyi i nadgarstków wykończone pasmanterią.

Powroty do Manangu

Elżbieta Dziuk i Krzysztof Renik



**GŁÓWNA ATRAKCJA
TURYSTYCZNA REGIONU**
Widoki masywu
Annapurny i lodowca
Gangapurny.

Po dziesięciu dniach marszu doszliśmy do Manangu. Kamienne piętrowe domy przypominają małe warownie. Zwieńczone płaskimi dachami-tarasami – ze starannie ułożonymi na nich zapasami drewna i siana. Trudno znaleźć nocleg. Wreszcie lokujemy się w miejscu, gdzie gospodyniami są dwie kobiety.



Młodsza jest zamężna. Ma małe dziecko. Mąż nieobecny. Dostajemy niewielkie pomieszczenie z oknem i dwoma drewnianymi łózkami. Tylko deski, bez materaców. Warunki w sam raz dla nas – mamy puchowe śpiwory.

Jemy tu głównie gotowane ziemniaki w mundałkach. Bardzo nam smakują – w drodze do Manangu, przez dolinę Marsyangdi, niewiele było pożywienia. Byliśmy szczęśliwi, gdy raz udało się nam kupić jajko... Po kilku dniach marszu, w małych sklepikach w stolicy dystryktu – osadzie Chame – zobaczyliśmy głównie soki i kilka porzeczki z mięsem tuńczyka. To pozostałości po himalaistach. Były też herbatniki Nebiko, chyba jeden z nielicznych wyrobów nepalskich.

W Manangu nie ma żadnego sklepiku. Siedzimy razem z naszymi gospodyniami w kuchni, przy palenisku. Wspólnie jemy – obierając palcami – owe ziemniaki, gotowane na żywym ogniu. Za oknem mroźno. W nocy pada śnieg. O świcie widzimy krajobraz „graficzny” – szeregi pobielonych kopców i zakrzywione linie kamiennych murków. To pola z wyrzuconym nawozem. Nad nimi – za rzeką – piętrzy się próg lodowca Gangapurna i długi na kilometry masyw Annapurny. Gdy słoń-



WAROWNE WIOSKI
Tutaj tradycyjne domy przypominają ufortyfikowane warownie.



WIOSKA W REGIONIE MANANGU

Dzipy ani motocykle wyżej już nie pojedą. Przyjdzie przesiąść się na muły.



LANDLADY TENZING ONGMA

Właścicielka pensjonatu pracuje już według zasad nowoczesnego marketingu.

ce trochę ogrzeje okolice, z lodowca z hukiem lecą lodowo-kamienne lawiny. Annapurny odgradzają nas od reszty świata.

Pora na wyjaśnienie. Ten tekst – to zapiski sprzed 32 lat. Z marca 1979 roku. Dzisiejszy Manang jest zupełnie inny. Inaczej też wygląda droga przez dolinę Marsyangdi, wiodąca do tej himalajskiej kotliny, wciśniętej pomiędzy łańcuch Annapurny i wyżyny Tybetu.

DROGA

Dzisiaj, by dojść do osad Manangu, nie trzeba prawie dwóch tygodni. Kiedyś wędrowkę zaczynało się w miejscowości Dumre, przy szosie Katmandu-Pokhara. Obecnie asfaltową drogą dojechać można aż do Besi Shaha. Ponad 30 lat temu szliśmy tam przeszło dwa dni, pośród pól uprawnych, w prażącym słońcu, bo wysokość tej części doliny Marsyangdi nie przekracza 700 m n.p.m. Dzisiejszy dojazd to nie koniec udogodnień. Miejscowymi dzipami zajeżdżać można – choć drogi wyboiste i takie, których w naszej części świata nie uznano by za przejezdne – nawet na wysokość 1400 m. Dalej trzeba iść pieszo. Wiosną 2011 roku trwały już jednak prace nad drogą do wyżej położonej części doliny. Może więc w nadchodzących latach dzipy zjadą dalej.

Budowa drogi w dolnej części doliny Marsyangdi skróciła wędrowkę do Manangu o co najmniej cztery i pół dnia. To nie jedyna zmiana. W każdej chyba osadzie powstało kilka lub nawet kilkanaście guest-house'ów i małych restauracyjek. Zamieszkujący tę część doliny Gurungowie, do których one należą, w dużej mierze przestawili się na obsługę turystów. Ponad 30 lat temu trudno

było w tych wioskach lub ich najbliższej okolicy znaleźć miejsce pod namiot. Dzisiaj dwuosobowe pokoiki z czystą pościelą i dostępem do łazienki z ciepłą wodą kosztują równowartość niespełna dwóch dolarów. Droższa jest żywność – za ćapati trzeba zapłacić ponad dolar. Na nizinach kosztuje równowartość kilkunastu centów. Zdziwiałam urozmaicenie pożywienia serwowanego w tea-shopach na trakcie do Manangu. Włoska pasta i pizza to tylko cząstka oferty. A kiedyś w całej tej wiosce do kupienia było jedno jajko...

NOWE SMAKI MANANGU

W samym Manangu zmiany są podobne. Też hoteliki i restauracyjki, do tego kafeterie, ciastkarnie i piekarnie. Szczególnie wyraźnym znakiem tutejszych przemian ostatniego trzydzie-

KOPYTNE ŚRODKI TRANSPORTU

Jako środki lokomocji w Manangu wykorzystuje się konie, muły i osły. Manangba jeżdżą na nich z fantazją. Niebawem i oni przesiądą się na rowery i motocykle.



TEKSTYLNO-SPOŻYWCZY

Tutejsi mieszkańcy mają bogate tradycje kupieckie i zawsze umieli korzystać z otwierających się przed nimi nowych możliwości.



FOT. ELZBETA DZUJK-RENIK

stolecia jest właśnie pożywienie. Jeden z naszych himalajskich rozmówców, Karma Tsering z osady Braga, wyjaśnia: – *Codziennie życie zmieniło się bardzo. Inne rzeczy jemy. Dawniej na śniadanie robiliśmy, z mąki gryczanej lub jęczmiennej, coś w rodzaju naleśnika, także tsampę, prażoną wcześniej mąkę, mieszaną ze słoną herbatą z masłem. Teraz jemy makarony, chleb, ćapati. Karma przez skromność nie wspomina, że jest właścicielem pierwszej w Manangu piekarni German Bakery, w której kupić można przepyszne wypieki. Wraz z żoną, częściej dziś raczą swoich sąsiadów i gości czarną herbatą i drożdżówkami z serem lub owocami, niż tybetańską słoną herbatą soldża i tsampą.*

Kuchnia Manangu zmieniała się w miarę jak lud Manangba, tutejsi autochtoni, pojmował, że na karmieniu turystów można zarabiać. Phunjo Gurung z osady Manang nie ma już co do tego wątpliwości: – *Wiemy, że na obsłudze trekkersów możemy zarobić. Nauczyliśmy się tego. Przychodzili ludzie i płacili za to, co im sprzedawaliśmy – za miejscowy chleb, ziemniaki, inne warzywa. Nic dziwnego, że w menu zaczęły się pojawiać potrawy wcześniej nieznanne w tej części Himalajów.*

Zmiana tutejszych zwyczajów kulinarnych zaczęła się jednak wcześniej, wraz z nowinkami przyniesionymi z Tybetu. W latach 50. do Manangu przybyli Khampowie, tybetańscy wojownicy, przeciwni chińskiej dominacji na Dachu Świata. Rząd Nepalu zezwolił im na osiedlenie się właśnie w cieniu Annapurny. Phunjo Gurung wspomina: – *Khampowie znali się na rolnictwie – wiedzieli jak uprawiać kapustę, marchew, kalafior, rzodkiewki.*

Nauczyli nas tego. Teraz nie tylko uprawiamy więcej warzyw, ale i więcej zbieramy plonów. Manangbowie są społecznością otwartą na zmiany. Gdyby nie to, nie nauczyliby się tak szybko wykorzystywać możliwości, stwarzanych przez rozwijający się w Himalajach ruch turystyczny. Przydały się też umiejętności związane z innym tradycyjnym zajęciem górali zza Annapurny – z handlem.

KUPCY Z HIMALAJÓW

O kupieckich tradycjach mieszkańców Manangu wiadomo od dawna. Jako pierwsi Nepalczycy, otrzymali od władz w Katmandu, a ściślej od królewskiego jeszcze rządu, paszporty. Tenzing Ong-



FOT. ELZBETA DZUJK-RENIK

ma, właścicielka jednego z pensjonatów w osadzie Manang, wspomina przy herbacie: – *W przeszłości nasi rodzice mogli podróżować i prowadzić handel w Malezji, Singapurze, także w innych krajach południowo-wschodniej Azji. Manangba sprzedawali tam leki pochodzenia naturalnego, zioła, a także szlachetne i półszlachetne kamienie, zbierane w górach. Wśród wywożonych za granicę leków pochodzenia naturalnego były między innymi słynne tybetańskie grzyby (Cordyceps sinensis), wyrastające z głów pewnych podziemnych larw, wykorzystywane przez tradycyjną medycynę chińską do wytwarzania preparatów wzmacniających potencję.*

Zasięg działalności handlowej Manangba był imponujący. Nie ograniczał się do krajów Azji Południowo-Wschodniej. Ze zdumieniem słuchaliśmy wspomnień naszego gospodarza z osady Braga, który z cennymi kamieniami z Himalajów podróżował w latach siedemdziesiątych do... Brazylii!

Duża grupa kupców z Manangu spędzała w podróży handlowych całe miesiące. W Nepalu już nie wracała w góry, pozostawała w Katmandu. Towary na handel znosili im z gór krewniacy. Kupcy zatrzymywali się najczęściej w okolicach słynnej stupy Svayambhunath. Tam właśnie tętniło przez wiele lat życie Manangba, natomiast ich rodzime wioski pustoszały. Właśnie w Katmandu górale z Manangu pierwszy raz na większą skalę spotkali się z branżą turystyczną.

Pracowali w hotelach, restauracjach i agencjach trekkingowych. Jak Karma Tsering z Bragi, który teraz wypieka w cieniu Annapurny doskonałe ciastka, bułki i chleby. – *Prowadziłem w Katmandu małą restaurację, przy której, od frontu, był nieduży sklepik z pieczywem, German Bake-*



ry. Dzięki tej pracy nauczyłem się, jak przygotowywać jedzenie i je podawać, jakie powinno być menu. Takich, jak Karma Tsering, było więcej. Punjo Gurung mówi krótko: – My, tak samo jak przychodzący do Manangu obcokrajowcy – turyści, znamy trochę świata, bo tu i tam podróżowaliśmy... Tenzing Ongma, podczas wspólnej biesiady, wspomina: – Mieszkałam w Manangu do ósmego roku życia. Potem wyjechałam do Katmandu. W stolicy spędziłam niemal dwadzieścia lat. Związałam się tam z moim obecnym mężem, nepalskim fotografikiem, którego zdjęcia śnieżnych panter zdobyły wiele międzynarodowych nagród. Jej miejskie życie to już przeszłość. Tak było też w przypadku Karmy Tseringa i Punjo Gurunga. Wszyscy wrócili w rodzinne strony.

NOWE SZLAKI

W dolinie i okolicach ciągle buduje się nowe drogi.





TU ZASZŁA ZMIANA

Powroty na większą skalę zaczęły się kilkanaście lat temu. Choć dolinę Katmandu zdestabilizowała maoistyczna rewolucja, w górach można było niezgorzej zarabiać na obsłudze turystów. Manangba takich możliwości nie mogli przepuścić. Karma Tsering ojczyste strony odwiedził wtedy na krótko, po długiej nieobecności, by wziąć udział w wyborach. – *Zobaczyłem, że moglibyśmy tu robić biznes lepszy niż w Katmandu. Moja żona – też z Manangu – wracać nie chciała. Może myślała, że znów będzie musiała – jak przed laty – ciężko pracować w polu. Ja z kolei uznałem, że choć pieniądze zarobię*

tu mniej, ale łatwiej niż w Katmandu. W stolicy jest teraz duża konkurencja. Po roku żona zgodziła się na powrót.

Większość tych, którzy wrócili, jest zadowolona z tej decyzji. Zgodnie przyznają, że życie w Manangu stało się wygodniejsze i łatwiejsze. Nic dziwnego: w osadach górnego Manangu jest elektryczność, a wyłączenia prądu należą do rzadkości. To zasługa małych elektrowni wodnych, wybudowanych w dolinie. Skoro jest elektryczność, to i łączność. Działa telefonia komórkowa, dostęp do internetu, mają telewizję. W samej osadzie Manang

KOPCZYK OBO

Kamienne kopczyki obo, ustawiane w Himalajach przez przechodniów, są odpowiednikiem stup – buddyjskich relikwiarzy.



HISTORIA CIĄGLE SIĘ TOCZY

Do wioski, w których kiedyś gościli turyści z linami, hakami i czekanami, coraz częściej docierają cykliści.

działają dwa kina z filmami o tematyce himalajskiej i tybetańskiej. Powstało muzeum. Jest zespół grający współczesny pop.

Przemiany cywilizacyjne z całą pewnością odbijają się na codziennym życiu Manangu i jego kulturze. Miejscowa ludność może wreszcie korzystać z dóbr współczesnej technologii. Manang nie jest już odcięty od świata. Zwraca na to uwagę Tenzing Ongma: – *Możemy od nas telefonować do każdego kraju i o każdej porze, łączyć się natychmiastowo. Dawniej nie było na to szansy.*

PRZYWIĄZANIE DO KORZENI JEST SILNE

Wszystko to zmieniło też postrzeganie Manangu przez jego mieszkańców. Chcą przeistoczyć swe

rodzinne strony w obszar, gdzie żyje się nowoczesnie i wygodnie, ale i – podkreślają stanowczo – w harmonii ze światem himalajskiej przyrody i niezwykłym dziedzictwem lokalnej kultury i cywilizacji, wyrosłych z tradycji buddyzmu tybetańskiego. Tenzing Ongma wyjaśnia z przekonaniem: – *Podróże zagraniczne są dobre, lecz dobrze jest też tu wracać i u siebie robić interesy. Wiemy teraz, że nasza wioska jest bardzo dobrym miejscem do życia. Ceniśmy też swoje korzenie etniczne i wiemy, jak pokazać je innym.*

Przywódcy wspólnoty lokalnej z Manangu z dumą prezentują miejscowe muzeum. Karma Ghale, oprowadzający po nim turystów, zapewnia: – Zdecydowanie chcę zostać w Manangu. Tutaj chcę żyć. Tu się wychowałem, spędziłem dzieciństwo i okres szkolny. Tu żyją moi rodzice.

Oczywiście żyje się inaczej niż przed 30 laty.



FOT. WIKIPISTA DZIKURENK



Oryginalna kuchnia azjatycka

Doskonałe sosy na patelnię lub woka



Blue Dragon to marka autentycznej kuchni azjatyckiej. Marka ta jest prawdziwym ekspertem kuchni Dalekiego Wschodu. W ofercie znajdziesz autentyczne sosy, które pomogą Ci przygotować w kilka minut pyszne dania kuchni tajskiej i chińskiej.

Sosy do gotowania kuchni Dalekiego Wschodu



Dołącz do nas na Facebooku!
Nasz profil: „Świat na talerzu”

Manang się zmienił. Nie mogło być inaczej, skoro rokrocznie te strony odwiedza kilkanaście tysięcy turystów.

Mieszkańcy Manangu – szczególnie ci, którzy ćwierć wieku temu byli jeszcze dziećmi – chętnie wypytują przybyszy, którzy tu wtedy bywali, jak wówczas wyglądała dolina? I właśnie w muzealnych salkach chcą ocalić pamięć o czasach, gdy w Manangu nie było ani jednego pensjonatu, ani jednej restauracji, a turyści trafiali się rzadko. Punjo Gurung wspomina: – *Wtedy nasi rodzice traktowali trekkersów jak gości – witali ich w domu, częstowali herbatą i miejscowymi plackami chlebowymi. Nie brali za to pieniędzy.* – Po chwili dodaje lekko zamyślony: – *Teraz trekkersi są inni, niż dawniej. Ci sprzed 30 lat przychodzili do Manangu po coś innego niż ekspresowe zaliczenie kolejnej atrak-*

cji turystycznej. Zostawali na dłużej, mieli czas i co najważniejsze – garnęli się do miejscowej ludności, szukali kontaktu z człowiekiem innej kultury i tradycji. Chcieli rozmawiać o życiu. Dzisiejsi turyści siedzą zwykle we własnym gronie w restauracjach i kafeteriach, myszkują po internecie, odizolowani od miejscowych barierą, narzuconą przez relacje o charakterze biznesowym.

Kto wie, czy nie jest to największa zmiana, jaka zaszła w Manangu w ciągu 32 lat od naszego pierwszego tam pobytu. Kiedyś był to bowiem jednorodny świat himalajskich gór, do którego próbowali się dostroić nieliczni przybysze z zewnątrz. Dziś obok siebie funkcjonują dwa światy – trekkersów i miejscowych. Współzależne, splecione relacją kupno-sprzedaż, ale w rzeczywistości bardzo od siebie odległe. ○



ZIMNY RAJ

Tomasz Janecki

Georgia Południowa położona jest daleko od turystycznych szlaków. Niewielu może powiedzieć, że podziwiało góry wyrastające prosto z morza, ogromne kolonie pingwinów królewskich, tysiące uchatk antarktycznych i albatrosy olbrzymie o rozpiętości skrzydeł sięgającej 3,6 m.



GRYTVIKEN – OSADA WIDMO

Sto lat temu przenieśli się tutaj łowcy waleni, kiedy już wybili wielorybie stada na północy. Wynieśli się stąd po 60 latach, kiedy znów zrobili swoje.

FOT. FOT. TOMASZ JANEKO

W jedynej tutejszej osadzie – Grytviken mieszka zaledwie kilkanaście osób. Od początków XX wieku przez wiele lat istniała tu stacja wielorybnicza. Na szczęście, tutaj czasy polowań na wieloryby to już historia.

Wyspa związana jest z postacią Sir Ernesta Shackletona, którego legendarna, arktyczna ekspe-

dycja sprzed stu lat należy do najbardziej fascynujących historii z pionierskich czasów zdobywania Antarktydy.

W IMIENIU KRÓLA

Georgia Południowa pod względem wielkości jest drugą, po Falklandach, wyspą subantarktyczną. Jej najwyższy szczyt – Mount Paget, wznosi się na wysokość 2934 m. Surowy klimat kształtowany jest przez zimny morski prąd. Za jego przyczyną średnia roczna temperatura wynosi zaledwie 2°C, częste są obfite i gwałtowne opady śniegu.

Georgia Południowa leży na granicy zasięgu gór lodowych pochodzących z Morza Weddella. Białe kolosy dryfują nieopodal brzegów. Ze wszystkich stron w głąb lądu wrzynają się głębokie fiordy.

Wyspa została odkryta prawdopodobnie w 1675 roku przez hiszpańskiego żeglarza Antoinę'a de la Roche, chociaż inne źródła wskazują na Amerigo Vespucciego i rok 1502. W 1775 roku dotarł tutaj kapitan James Cook podczas rejsu mającego na celu odnalezienie legendarnej Terra Au-



stralis Incognita – Nieznanej Ziemi Południowej. Opisał ten skrawek lądu i zaanektował go w imieniu angielskiego króla Jerzego III, a na jego cześć nadał mu nazwę Georgia. Historia wyspy nierozdzielnie wiąże się z wielorybnictwem.

O TYM MARZYŁ POLARNIK

Na Georgię Południową trafiłem zupełnie nieoczekiwanie. Wydarzenie to wciąż wydaje mi się nieprawdopodobne. Marzyłem, by się tu znaleźć, nie wierząc, że będzie to możliwe.

Zaczęło się tak... przyszedł marzec, kończyło się antarktyczne lato, a wraz z nim mój kolejny pobyt na Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego. Transport bezpośrednio do Ushuaia zapewniony był na pokładzie rosyjskiego statku MV Polar Pioneer. O tym, że na pokładzie są turyści wyruszający właśnie w dwutygodniowy rejs pod nazwą „Odyseja Shackletona”, dowiedziałem się, kiedy statek przyplął do Zatoki Admiralicji. Polscy polarnicy dołączyli do tej grupy. Zanim dotarliśmy do portu przeznaczenia, udaliśmy się śladami wielkiego odkrywcy: przez Elephant Island, Orkady Południowe na Georgię Południową. Przepłynięcie Cieśniny Drake’a, które zazwyczaj trwa dwa dni, zajęło nam dwa tygodnie, w czasie których przepłynęliśmy około 4000 km przez Morze Weddella i Morze Scotia. Był to dla mnie prezent od losu.

LODOWA SERWATKA

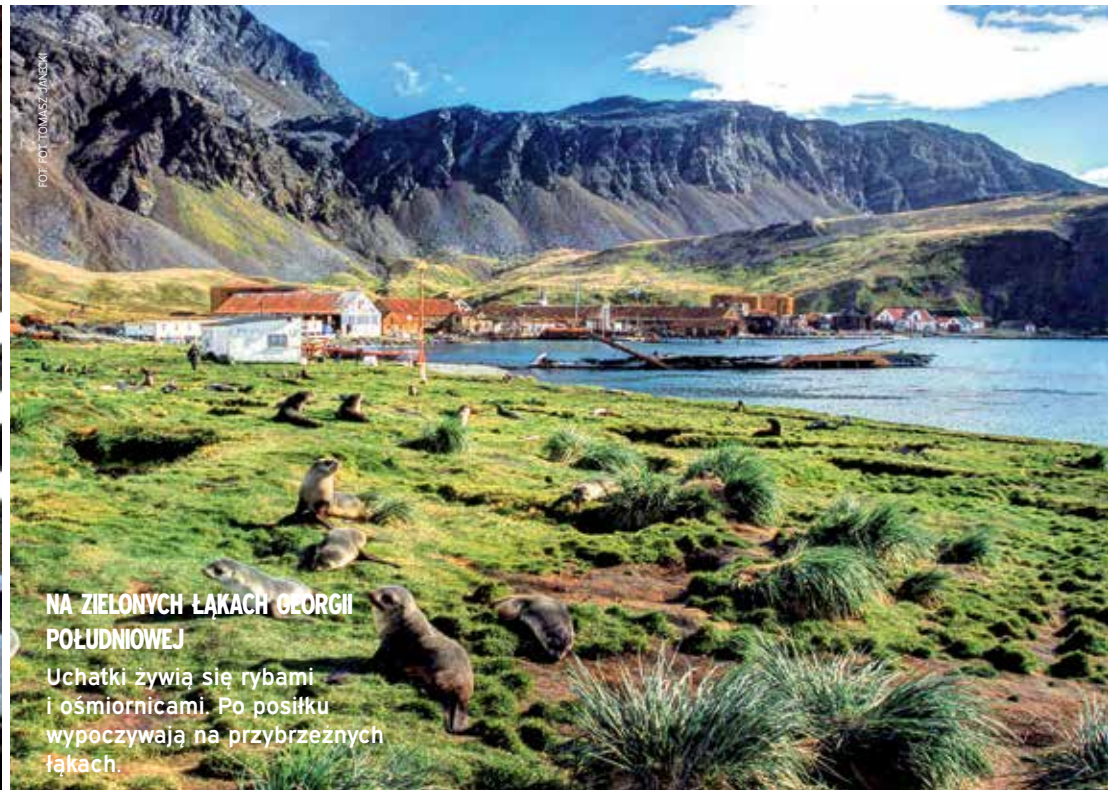
...Morze Scotia rozbucało się na dobre. Siedmiometrowe fale przykryte białymi grzywami miotają statkiem tak, że trudno się poruszać. Przechyliły dochodzą do 30 stopni. Wiele osób cierpi leżąc w kojach. Pisząc te słowa, siedzę właśnie w suchej, ciepłej kabinie Polar Pioneera i myślę o tym, jak dzielni musieli być rozbitkowie z Endurance’a, uczestnicy legendarnej, pionierskiej wyprawy Ernesta Shackletona, którzy przed stu laty, przy takiej samej sztormowej pogodzie płynęli po tym akwenie w małych szalupach – tak pierwsze dni rejsu opisałem w swoim dzienniku.

W okolicach południowo-zachodnich wybrzeży Georgii zagaściło się od gór lodowych. Szczyty tej skalistej wyspy tonęły w chmurach. Koło południa Polar Pioneer wpłynął do spokojnej zatoki Króla Haakona i rzucił kotwicę kilkaset metrów od brzegu. Woda w zatoce miała kolor serwatki na skutek mieszania się słonej wody oceanicznej z tą słodką, spływającą z lodowców, niosącą różne zawiesiny. Skalne ściany wypiętrzały się stromo na wysokość ponad 1000 m. Spod lodowych czap na ich szczytach sączyły się leniwie wąskie strugi wodospadów. Dolne partie zboczy porastały kępy bujnych traw. Krajobraz przypominał trochę norweskie fiordy.

NATURALNY WIATROCHRON

Wysokie góry są ochroną przed silnymi wiatrami wiejącymi od Antarktydy i Cieśniny Drake’a. Z ich zboczy spływa 161 lodowców.





NA ZIELONYCH ŁAKACH GEORGII POŁUDNIOWEJ

Uchatki żywią się rybami i ośmiornicami. Po posiłku wypoczywają na przybrzeżnych łąkach.

GRÓB ERNESTA SHACKLETONA

Ten irlandzki polarnik, wyróżniony przez brytyjskiego króla tytułem lordowskim, był jednym z pierwszych badaczy tych rejonów. Zmarł tu na atak serca w wieku 47 lat.

KRAINA Z TOLKIENA

Specjalne pontony, zwane zodiakami, przewoziły turystów do małej zatoczki Cave Cove. To tutaj przed laty wylądował Ernest Shackleton, płynąc po ratunek dla swojej załogi uwięzionej na Elephant Island po zmiążdżeniu przez pola lodowe ich statku Endurance. Wydarzenie to upamiętnia wmurowana w skałę tablica. Nazwa zatoki pochodzi od kształtu małej jaskini, a właściwie wyłomu skalnego, za którym rozbitkowie schronili się zaraz po zejściu na ląd.

Kiedy wspinaliśmy się do miejsc lęgowych albatrosów wędrownych, nad naszymi głowami przelatywały petrele, albatrosy i skuły. W słodkowodnym jeziorze dostrzegłem jedyną na świecie gatunek drapieżnych kaczek polujących na bezkręgowce wodne, a nawet na drob-

ne ryby – Eaton's pintail (*Anas eatoni*). Dodatkową nagrodą za wspinaczkę był szeroki widok na całą zatokę Króla Haakona oraz na pokryte górami lodowymi Morze Scotia. Po południu wpłynęliśmy jeszcze głębiej w zatokę. Kotwica została rzucona na samym jej końcu, około kilometra przed czołem lodowca Murray. O zachodzie słońca miejsce to zaczęło kojarzyć się z tolkienowską krainą Mordor.

PORODÓWKA UCHATEK

Następnego dnia wpłynęliśmy do małej zatoczki Elsehul na zachodnim krańcu wyspy, gdzie znajduje się jedna z głównych kolonii lęgowych uchatki antarktycznych. Pływały ich tu setki. Wokół statku bez przerwy słychać było ich głosy przypominające żurawi klangor. Kolejnym przystankiem była Right Whale Bay. Tu znowu spotykaliśmy się z tysiącami małych uchatki, które głównie w tej okolicy przychodzą na świat.

Gwiazdzistą nocą, przy pełni księżyca skierowaliśmy się na wschód, do kolejnej zatoki – Fortuna Bay – na północnym wybrzeżu wyspy. Rankiem w pełnym słońcu wylądowaliśmy na kamienistej plaży w głębi zatoki. Wokół nas pływały przypatrujące się nam ciekawie pingwiny królewskie i



FOT. SHUTTERSTOCK

stada małych uchatek. Na zielonych zboczach gór sięgających 600 m pasły się renifery, sprowadzone tu przed stu laty przez norweskich wielorybników. Zwierzęta zaaklimatyzowały się wspaniale. Warunki terenowe i klimatyczne tego rejonu wyspy przypominają do złudzenia północ Skandynawii. W głębi zatoki widać było dochodzący niemal do wody jezior lodowca König Glacier. Tutaj znajduje się duża kolonia lęgowa pingwinów królewskich.

Widoki tej części wyspy, pomimo panującego chłodu, były dla mnie wyobrażeniem raju. Pomiędzy kępami traw i szumiącymi potokami spływającymi spod lodowców przechadzały się dostojnie pingwiny, w słońcu baraszkowały, wesoło popiskując, młodziutkie uchutki, a dalej pasło się wielkie stado reniferów. Na dodatek, nie wiadomo skąd, przy słonecznej pogodzie zaczął prószyć drobny śnieg.

Uzupełnieniem tego krajobrazu była malownicza zatoka Hercules Bay, gdzie gniazdują pingwiny Macaroni.

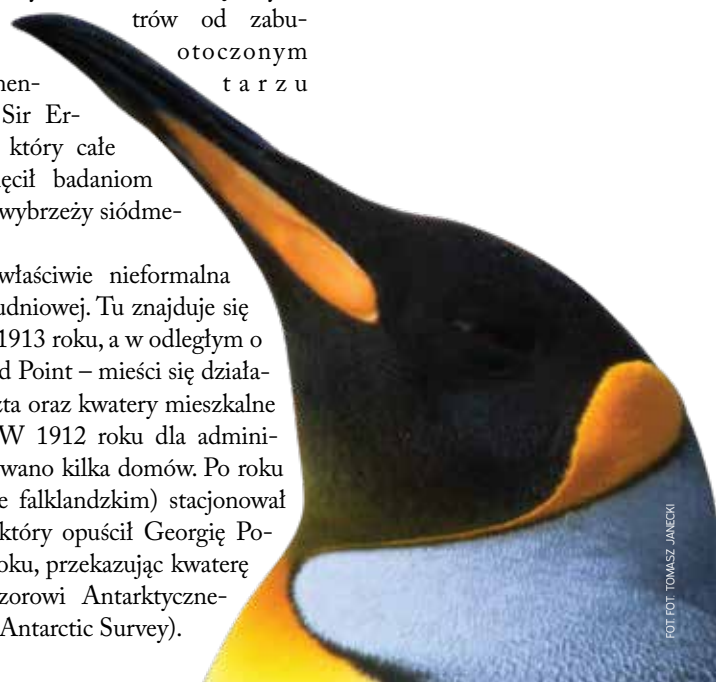
RZEŹNIA WIELORYBÓW

„Nie ma już wielorybich stad, gryzie rdza harpuna ostrą pikę, nie ma już wielorybich stad, dziewiczy wrócił czas w Grytviken...” – tak o osadzie w zatoce Cumberland śpiewa Jurek Porębski – szantymen oraz uczestnik dawnych rejsów antarktycznych.

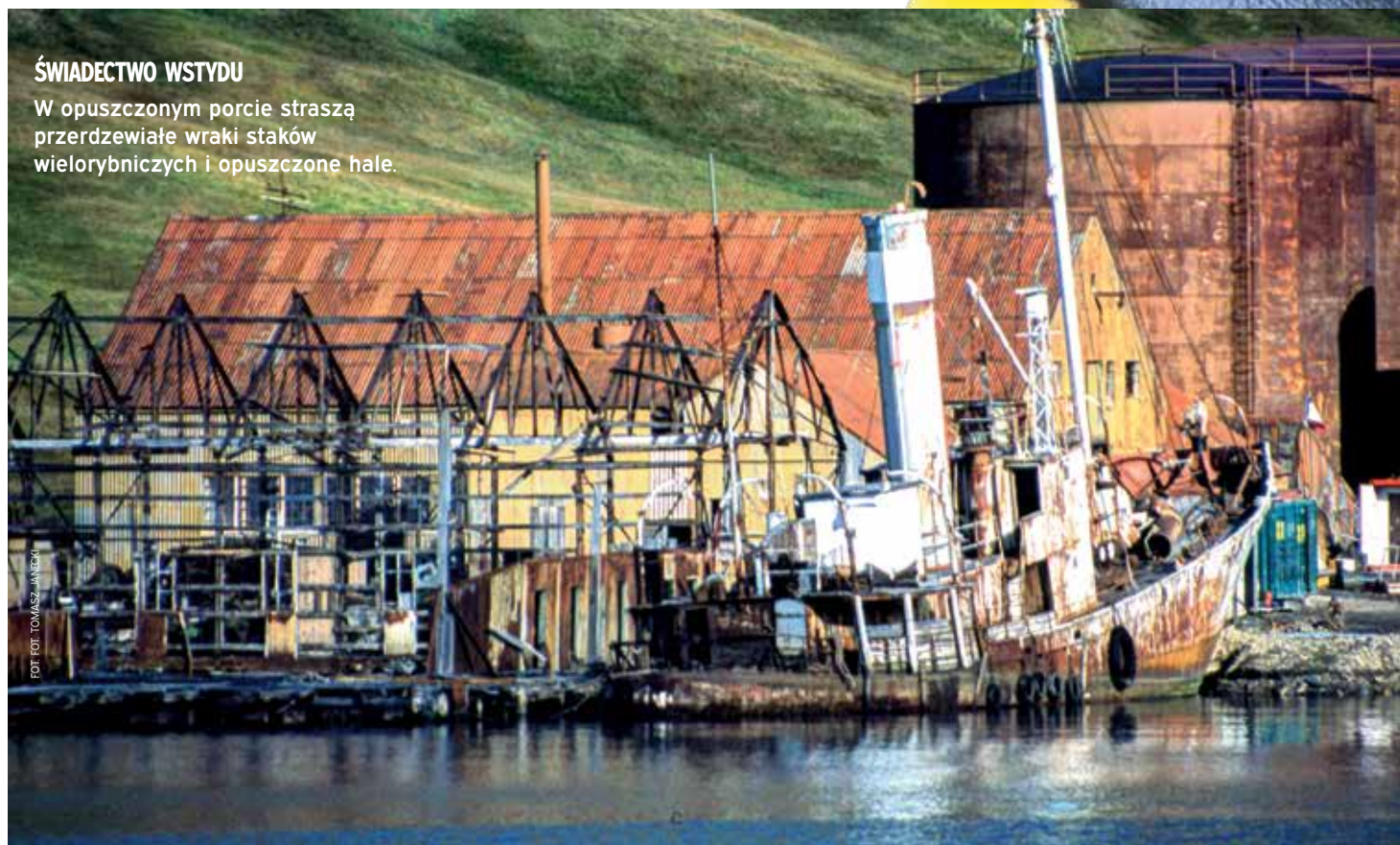
Tutaj mieściła się najstarsza i najbardziej znana stacja wielorybnicza. Była to główna faktoria na półkuli południowej. Działała nieprzerwanie do 1965 roku. Z wielkiej floty statków łowczych do dziś przetrwały trzy – zardzewiałe, z dziobami wbitymi w brzeg – wciąż świadczą o minionych czasach wielkich polowań. Na pobliskich wodach zginęło ponad 175 tysięcy wielorybów, w tym aż 41 tysięcy największych z nich – wali błękitnych.

Kilkaset metrów od zabudowań stacji, na otoczonym białym płótkiem cmentarzu znajduje się grób Sir Ernesta Shackletona, który całe swoje życie poświęcił badaniom nieznanego morza i wybrzeży siódme-go kontynentu.

Grytviken to właściwie nieformalna stolica Georgii Południowej. Tu znajduje się muzeum, kościół z 1913 roku, a w odległym o 800 m King Edward Point – mieści się działająca regularnie poczta oraz kwatery mieszkalne kilku urzędników. W 1912 roku dla administracji wyspy zbudowano kilka domów. Po roku 1982 (po konflikcie falklandzkim) stacjonował tu mały garnizon, który opuścił Georgię Południową w 2001 roku, przekazując kwaterę Brytyjskiemu Nadzorowi Antarktycznemu (BAS – British Antarctic Survey).



FOT. FOT. TOMASZ JANECKI



ŚWIADECTWO WSTYDU

W opuszczonym porcie straszą przedziewiałe wraki statków wielorybniczych i opuszczone hale.

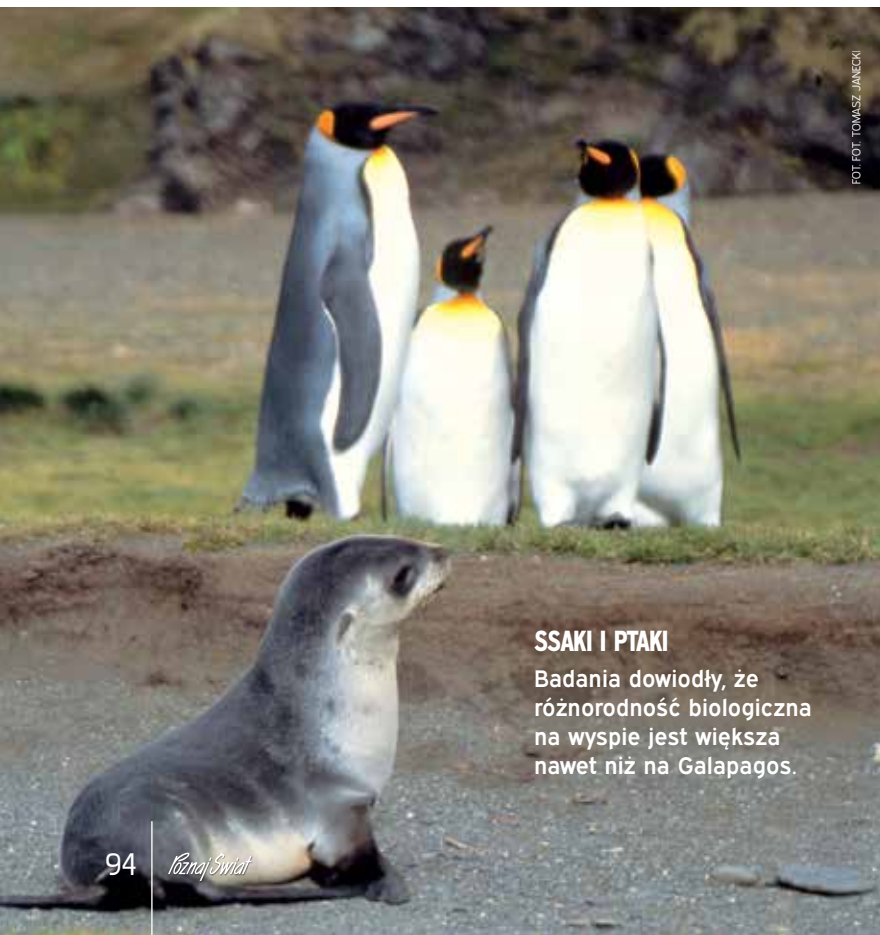
FOT. FOT. TOMASZ JANECKI



FOT. FOT. TOMASZ JANECKI

NIE MA JUŻ GDZIE ROZŁOŻYĆ KOCYKA

Pingwiny będące symbolem Antarktyki tworzą kolonie liczące nawet do kilkuset tysięcy sztuk. W trakcie sezonu lęgowego dochodzi tu do największego na Ziemi zagęszczenia zwierząt.



FOT. FOT. TOMASZ JANECKI

SSAKI I PTAKI

Badania dowiodły, że różnorodność biologiczna na wyspie jest większa nawet niż na Galapagos.

WIZYTA U KRÓLEWSKICH

Kierując się zachodnim kursem, dotarliśmy do zatoki Fortuna Bay. Stąd trzydziestoosobowa grupa turystów, prowadzona przez przewodników, wyruszyła przez góry do opuszczonej stacji wielorybniczej Stromness w sąsiedniej zatoce. Okazało się, że jednym z przewodników jest Szerpa Tashi, wnuk samego Norgaya Tenzinga, zdobywcy Mount Everest sprzed pół wieku!

Pozostałości stacji to zrujnowane budynki i połamane stalowe konstrukcje. Po plaży, wśród zardzewiałych śrub okrętowych, łańcuchów kotwicznych i starych kotłów, spacerowały pingwiny królewskie.

Kolejna atrakcja Georgii Południowej – największa na świecie kolonia lęgowa pingwinów królewskich, mieści się na plażach i zboczach Salisbury Plain. Gniazduje tu około 60 tysięcy par tych ptaków.

To było ostatnie odwiedzane miejsce na South Georgia. Na Morzu Scotia znowu przywitał nas sztorm. ○

PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

INNE KRAJOBRAZY, ZWYCZAJE, LUDZIE – A WŚRÓD NICH, DLA PODRÓŻNYCH ŻADNYCH WIEDZY NA TEMAT ODWIEDZANYCH MIEJSC, ISTOTNE OSOBY: PRZEWODNICY. PRZEZ PRYZMAT ICH WIEDZY I WRAŻLIWOŚCI POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓL NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH I MY JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. POSTANOWILIŚMY DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.



R. Riza Dönmez
PRZEWODNIK Z TURCJI

Jako przewodnik pracuje od ponad 25 lat, posiada uprawnienia do prowadzenia grup polskojęzycznych.

Skąd u Pana tak dobra znajomość języka polskiego?

Wyłącznie z kontaktu z polskimi turystami. Robię sporo błędów gramatycznych, ale Polacy są tolerancyjni i starają się pomóc mi poznać ich język. Dzięki nim coraz więcej się uczę i mówię po polsku coraz lepiej.

O co najczęściej pytają turyści?

Prawie od każdej grupy słyszę takie pytanie "czy wiesz, że Turcja jest jedynym krajem który nie uznał rozbiorów Polski przez 25 lat?". To jest bardzo ważny temat dla Polaków i cieszą się, że są w kraju, który zrobił dla nich coś dobrego. A i dla mnie jest to bardzo miłe i za każdym razem z przyjemnością rozmawiam na ten temat.

Czy turyści nauczyli Pana czegoś?

Przede wszystkim dzięki nim poznałem Polskę, dowiedziałem się, że to dawny

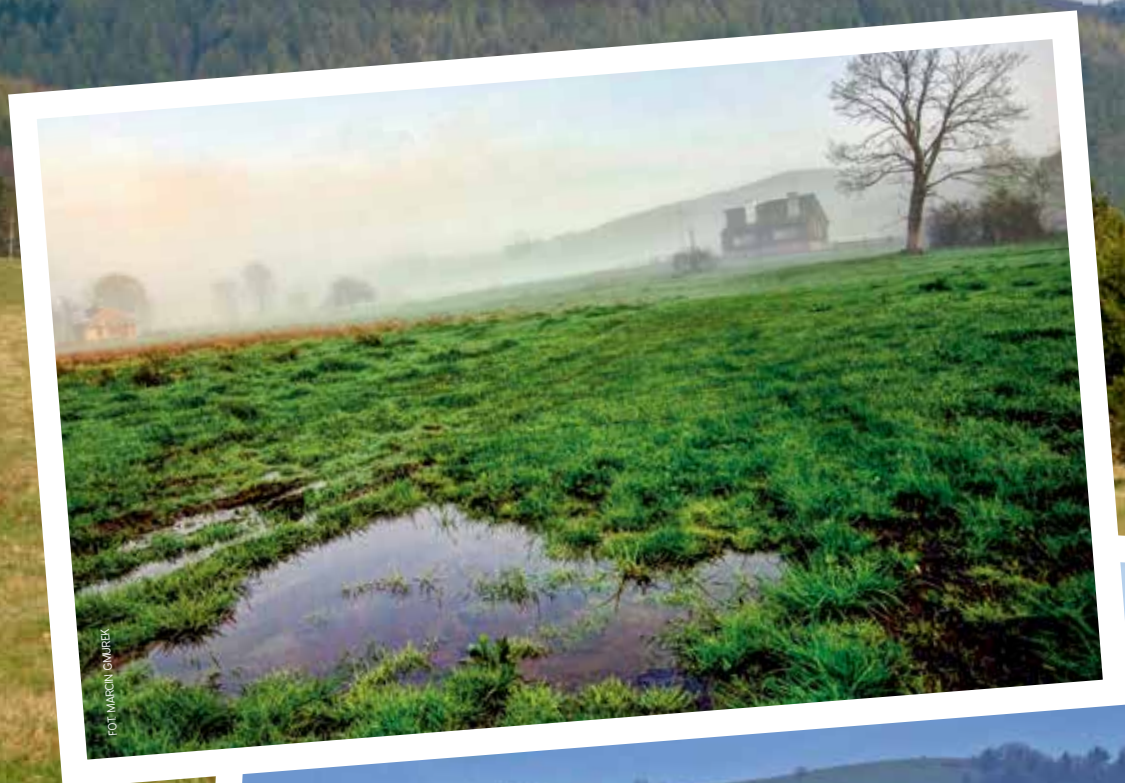
"Lehistan"! Przekonałem się, że Polska nie jest tak naprawdę daleko, bo mimo geograficznej odległości 2500 kilometrów, dzięki każdej grupie czuję się, jakbym tam był. Od Polaków dowiedziałem się jeszcze, że "dla chcącego nic trudnego". Mój przypadek potwierdza to powiedzenie – nauczyłem się tak trudnego języka, jak polski, zresztą też dzięki turystom

Co Pana najbardziej cieszy w pracy z turystami?

– Ta praca to moje hobby, ale jedno zdarzenie szczególnie utknęło mi w pamięci. Gdy już pożegnałem się z pewną grupą na lotnisku, podeszła do mnie jedna z uczestniczek wycieczki (o ile pamiętam nauczycielka z zawodu). Powiedziała tak "Jest pan bardzo dobrą wizytówką swojego kraju". Od tego czasu minęło już 25 lat, ale te słowa będę pamiętał zawsze. Pozdrowienia dla „mojej” Polski! ☺



Email: drrdonmez@hotmail.com
phone no: +90 532 425 08 25



Gdy Bieszczady, wciąż określane mianem „Dzikiego Wschodu”, od lat komercyjnie konsumują tę dawno nieaktualną legendę, w lecie równie przepelnione tłumem, jak zdeptane Tatry, tuż obok, niemal w zapomnieniu i ciszy, trwają inne góry. Najdziksze i najdłuższe pasmo górskie w Polsce – Beskid Niski.

FOT. MALGORZATA ANTOŃSK

Ostatnie takie góry

Tomasz Borkowski

Z pozoru, nic w tym dziwnego. Rzeczywiście, niewielkie te szczyty, najwyższe nie sięgają nawet tysiąca metrów nad poziomem morza. Przeważnie są zarośnięte lasem, bez stoków narciarskich. Nie prowadzą ku nim wygodne drogi dojazdowe. Brak u ich podnóży luksusowych kurortów. Choć położone między popularnymi Bieszczadami a jedną z naszych najbardziej znanych miejscowości turystycznych – Krynicią, wciąż – dobrze to, czy źle? – stanowią białą plamę na mapie podróży przeciętnego Polaka. Powoli jednak i tam zmienia się rzeczywistość. Coraz bardziej mobilni rodacy zapuszczają się i w ten rejon Karpat Wschodnich,

BYŁA SOBIE ŁEMKOWYNA

Oto góry, w których nie same góry stanowią atrakcję – atrakcją jest to, co pomiędzy nimi. Puste doliny, niknące ścieżki, wielkie przestrzenie, wolne od ludzkich osad, a nawet pojedynczych domostw, niedostępne knieje, dzikie potoki, bezdroża. A przecież, schodząc z grzbietu, natrafiamy na ślady niegdyś bujnego życia, jakim tętniły te tereny. Oto dolina, rozkwitająca wiosną na biało, nagle okazuje się wielkim zdziczałym sadem, pozostałym po ludnej wsi, która umarła przed dziesięcioleciem. Po domach pozostały tylko pokrzywy, zarastające miejsca, skąd z korzeniami wyrwano fundamenty czyjegoś życia. Polna droga co rusz mija krzyże i kapliczki, jakie niegdyś stały przed każdym gospodarstwem. Gdy niszczone wsie, krzyży nikt nie odważył się ruszyć. Stoją szpalerem po dziś dzień. Choć zwykle przerdzewiałe, rozłupane, spróchniałe, przechylone i porośnięte mchem, dają nieme świadectwo tragicznej historii tych ziem. Nie pozostawiają wędrowca obojętnym – ten widok chwyta za gardło.

Historia, po wielokroć przetaczając się tamtędy ciężkim walcem, nie oszczędzała rejonu dawnej Łemkowszczyzny, czy – jak ją nazywali sami ówczesni mieszkańcy – Łemkowyny. Trudno dostępna, położona na peryferiach dwóch zaborczych mocarstw, Austro-Węgier i Rosji, wiecznie rozdarta politycznie, etnicznie i religijnie, od wieków zamieszkała przez Rusinów, Wołochów, Żydów i Polaków, kraina ta nigdy nie stanowiła centrum zainteresowania żadnego państwa czy



FOT. MALGORZATA ANTOSEK



NA BEZLUDZIU

W pół wieku po czasach wojny i wysiedleniu miejscowej ludności doliny stały się puste i wolne od ludzkich osad.

FOT. MALGORZATA ANTOSEK

UMARŁA KRAINA

Niegdyś na ziemi tej tętniło życie. Gdy przyszedł czas zagłady, nikt nie odważył się ruszyć krzyży. Dziś leżą przewrócone, spróchniałe, przyspane, porośnięte mchem.

choć ledwie kilkanaście lat temu całymi dniami można było w tych górach nie spotkać żywej duszy, a na otwarty sklep trafić może raz na wiele kilometrów wędrowki zarastającymi wciąż ścieżkami. Urok tych stron nie jest oczywisty i rodem z folde-ru biura podróży; nie rzuca się w oczy przypadkowemu wczasowiczowi. By docenić tutejszy koloryt, trzeba zadać sobie więcej wysiłku, poszukać głębiej, wejść w serce tych gór. Ale drugiego takiego miejsca w Polsce być może już nie ma.

narodu. Najliczniej zamieszkiwali ją Łemkowie, nazywający siebie Rusnakami – w większości prawosławna ludność, posługująca się gwarą języka ukraińskiego. Niektórzy Łemkowie uważali się za Ukraińców, inni za odrębny naród, ale od uzyskania przez Polskę niepodległości byli obywatelami Rzeczypospolitej. I pierwsza, i druga wojna światowa zebrały tu krwawe żniwo, zwłaszcza w rejonie Przełęczy Dukielskiej, o którą podczas obu wojen toczono ciężkie walki i pod którą miejscowym rolnikom do dziś zdarza się wyorać ponure pamiątki tych zmagania. To te ślady, obok pozostałości po wysiedlonych wsiach, są tu dziś najczęściej spotykanym świadectwem ludzkiej obecności. Między połemkowskimi cmentarzami

kańców i rzuciła setki, a nawet tysiące kilometrów stąd. Przed wojną kilkadziesiąt tysięcy Łemków zamieszkiwało ponad trzysta miejscowości. Ludność pochodzenia rusińskiego wysiedlano i w początkach walk z ukraińskim podziemiem, i w ich późniejszej fazie. Za decydujący cios, wymierzony w Ukraińską Powstańczą Armię i likwidujący jej cywilne zaplecze, przyjmuje się jednak trzy miesiące pomiędzy ostatnimi dniami kwietnia a końcem lipca 1947 roku. Rdzennych mieszkańców południowo-wschodnich krańców Polski wywieziono



FOT. SHUTTERSTOCK

wtedy na Ziemię Odzyskaną lub do ZSRR. Aby nie było do czego wracać, zrównano z ziemią łemkowskie i bojkowskie wsie na terenie Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Ofiarą tych działań padły też tysiące osób, z UPA niemających nic wspólnego, a nieludzkie zbrodnie splamiły honor także polskiego żołnierza. Pozostały jedynie góry – milczący świadkowie tamtych okrutnych czasów. Opuszczone, zmieniły swój charakter – zniknęli ludzie, a wraz z nimi domy, pola uprawne, pastwiska i drogi. Ocalały krzyże u dawnych łemkowskich chat – chyży, gdzieś tam gdzie cerkwie, których polscy żołnierze nie

MÓWIĄ WIEKI
Zachowana drewniana cerkiew greckokatolicka świętych Kosmy i Damiana w Kotani.

często można napotkać żołnierskie mogiły, przeważnie austriackie.

Najmocniej jednak odcisnęły się na łemkowskiej ziemi lata powojenne. Akcja „Wisła” na zawsze zmieniła oblicze tych gór, wyrwała ich miesz-



FOT. MALGORZATA WITKOZKA



FOT. SHUTTERSTOCK



mieli śmiałości spalić. I one jednak z roku na rok coraz bardziej niszczały, pozbawione boskiej i ludzkiej opieki, szabrowane przez poszukiwaczy ikon, rozbierane na opał przez więźniów uruchamianych na tych pustkowiach zakładów karnych lub pracowników PGR-ów. Do dziś przetrwały nieliczne.

GÓRY ŁĄCZĄ LUDZI

Paradoksalnie, to właśnie te wydarzenia ukształtowały obecny charakter Beskidu Niskiego, stawiący o jego cichej charyzmie. Inne górskie ziemie, gęsto zaludnione, gdzie naturę okiełznano i ucywilizowano, niewiele różnią się od terenów nizinnych. Beskid Niski wciąż pozostaje odludziem.

Niezbyt atrakcyjny dla narciarzy i letników, słabo zaludniony, i to od nie tak dawna, przez ludność napływową lub wracających po latach autochtonów, stał się mekką dla specyficznego gatunku turystów. Zaczęli napływać już w la-

tach 60. ubiegłego wieku, choć częściej wabiły ich uroki Bieszczadów. W latach 70. i 80. niewielka, lecz rosnąca z czasem grupa miłośników górskich wędrówek upodobała sobie właśnie Beskid Niski, postanawiając wracać tam jak najczęściej. Z pewnością nie byli to „niedzielni turyści”.

Na aprowizację na miejscu nie mogli liczyć. Zmuszeni dźwigać kilkudziesięciokilogramowe plecaki z zaopatrzeniem na okres całej wędrówki, przedzierali się przez zarośnięte górskie grzbiety i doliny, w najlepszym razie słabo oznakowanymi szlakami, w oparciu o niedokładne, zwodnicze mapy. Przez długie lata były to góry tylko dla prawdziwych twardzieli. Góry krnąbrne, które nie odwodziły się za wysiłek pięknymi panoramami.

Znacznych wyniosłości terenu jest w Beskidzie Niskim tylko kilka, jak górująca nad piękną doliną Bielicznej Lackowa, najwyższy polski szczyt pa-

sma, czy widoczny z daleka Chełm albo strzelająca w górę niemal z równiny Cergowa. Bywa, że nachylenia zboczy tych gór zaskakują stromizną, jakiej nie powstydzilyby się tatrzańskie stoki. Niemal cudem natury wydaje się sposób, w jaki trzymają się drzewa na przepaścistych urwiskach Cergowej i Lackowej, w miejscach, gdzie poziomicę na mapach

Wytrawni i wytrwali turyści, nie dla widoków przemierzający Beskid Niski pod koniec XX wieku, musieli sobie radzić sami. Na nocleg mogli liczyć zwykle tylko we własnym namiocie, względnie pod chmurką. Rzadziej – i nie w każdej części tych gór, im dalej na wschód, tym słabiej zaludnionych – gdzieś na sianie, w którymś z nielicznych gospodarstw. Schronisk turystycznych na tym terenie, jak na lekarstwo – z obiektów

PTTK wymienić można właściwie tylko baczówkę w Bartnem i schronisko na Magurze Małastowskiej. Turyści więc, zrzeczając się

LUKSUS TRZEBA PRZYNIĘĆ ZE SOBĄ

Choć tutejszy Beskid jest niski, przez lata stanowił wyzwanie dla prawdziwych twardzieli. Na wygodę, luksus i przesadną aprowizację nie ma co liczyć nawet dziś.



PUSTE PGR-Y STRASZA

Chcąc przyciągnąć ludność, władza na opustoszałych terenach zakładała PGR-y. Budynki tych gospodarstw są dziś często jedynymi okazałymi zabudowaniami w tych okolicach.

FOT. MALGORZATA ANTOISK



FOT. MARCIN GMIUREK

niemal na siebie zachodzą. A trzymają się mocno, nietłatwo więc w Beskidzie Niskim o otwarty widok. Takich miejsc jest zaledwie kilka – podziwiać okolicę można na przykład z wierzchołków Łysej Góry, Bani Szklarskiej, Polańskiej lub Jaworzyny Konieczniańskiej – i one jednak zarastają coraz wyższym lasem. Ale gdy już natrafi się na rozległy widok, nietrudno o zaskoczenie – choćby takie, że przy dobrej pogodzie widać odległe o setki kilometrów Tatry.

w kluby i stowarzyszenia, poczęli tworzyć własne bazy, czy to namiotowe, czy tak zwane chatki studenckie – pomysł specyficznie polski – adaptując położone na uboczu budynki. Powstały bazy



FOT. MARCIN GMIUREK

w Wisłoczku, Radocynie czy Regietowie, otwarto chatki studenckie w Nieznajowej, Ropiance, Zyn-dranowej, Zawadce Rymanowskiej i Polanach Su-rowicznych (ta ostatnia obchodzi w tym roku 30. urodziny). Zrazu droga do nich znana była tylko

kach znanych im wszystkim, starych pieśni. Jest ich na tyle niewielu, że po latach wędrówek stanowią całkiem zżytą grupę. Mimo że pochodzą z najrozmaitszych, często bardzo odległych rejonów kraju i choć Beskid Niski stanowi najrozleglejszą w Karpatach grupę górską, większość z nich co roku się tu i ówdzie spotyka, a zdążając do jakiegokolwiek bazy, mogą być niemal pewni, że trafią w niej na znajomych. Podczas co-rocnych spotkań rodzą się niekiedy trwałe więzi – te góry łączą ludzi, jak żadne inne.

PRZEMIJA POSTAĆ ŚWIATA

Dni „dzikiego” Beskidu Niskiego są jednak policzone. Żeby zaznać tam-tejszej egzotyki, trzeba się spieszyć. Wypierają ją atrakcje dla turystów „o niższym stopniu wtajemniczenia”. Organizowane są wycieczki z przewodnikami, przejazdy konne. Otwierają się wypożyczalnie sprzętu. Coraz więcej miejsc można odwiedzić samochodem. Mnożą się domy wczasowe, restauracje i pensjona-ty, gospodarstwa agroturystyczne

i prywatne schroniska. I choć niejednemu z nich nie brak klimatu, jak przepięknej Farfurni albo Hajstrze, położonej w dolinie poza zasięgiem telefonii komórkowej, coraz szybsza rozbudowa infrastruktury turystycznej przybliży moment, w którym turystyczny krajobraz dawnej Łemkowiny przestanie się znacząco różnić od scenerii typowej dla Podbeskidzia czy Karkonoszy. Bogacący się Polacy szukają atrakcyjnych działek i kupują ziemię pod dacie w pustych do niedawna dolinach – wsie więc prędzej czy później zmar-twychwstaną, choć już nie jako miejsce do życia, ale oazy wypoczynku. Może jeszcze nieprędko da się wjechać wyciągiem narciarskim na co



FOT. MARCIN GWARBEK

JADĄ TWARDZIELE

W odludną dzikość Beskidu Niskiego powoli wbija się turystyczna komercja. Organizowane są wycieczki z przewodnikami, coraz więcej miejsc można zjeździć samochodem.

nielicznym, nie wszystkie oznaczono na mapach – od początku jednak przyciągały ludzi, którzy raz przyjechawszy w Beskid Niski, zapragnęli doń wracać. Tam właśnie skupia się obecnie turystyczne życie tych gór.

I choć dziś w tych bazach pojawiają się dzieci, a nawet wnuki ich założycieli, wciąż jest to dość wąska, wyodrębniona grupa górolazów. Rzec można, że w Beskidzie Niskim znajduje się ostatni bastion wędrowców starej daty, kultuwujących turystyczne zwyczaje, niezależnie od wieku mówiących sobie na Ty, wciąż noszących po górach gitary, gdzie indziej coraz częściej zastępowane i-podami, chętnie skupiających się wokół ognisk przy dźwię-



drugie wzniesienie i nie od razu w każdej wiosce powstaną stoiska z pamiątkami w rodzaju ciupag z napisem „Łemkowyna”, ale tak jak przed laty przeminął kraj Łemków, nieuchronnie zbliża się też koniec ostatniego beskidzkiego odludzia.

Zapewne wyjdzie to na dobre jego mieszkańcom, Beskid Niski bowiem to region strukturalnego bezrobocia, wywołanego zamknięciem PGR-ów, na których opierała się miejscowa gospodarka rolna. Obrazowo ten stan rzeczy opisał, mieszkający w sercu Beskidu Niskiego, Andrzej Stasiuk. Ukazuje go też oparty na prozie Stasiuka film „Wino truskawkowe” Dariusza Jabłońskiego.

Pojawia się już w tych górach nowy typ turysty, a także coraz więcej osób, które trudno określić tym szlachetnym mianem. Czy oznacza to unicestwienie enklawy turystów starszej daty? Trudno powiedzieć, ale z pewnością Beskid Niski straci niebawem znaczną część swego szczególnego uroku i odmienności, a po wrażenia, których do niedawna dostarczał, trzeba będzie jeździć za wschodnią granicę, na górskie pustkowia Ukrainy.

Dzisiaj jeszcze możemy, bez natłoku turystów, przemierzyć wąską przygraniczną ścieżkę, by zerknąć na słowackie Nizkie Beskydy. Mamy szansę zanurzyć się w gęstych zaroślach dolin i wdychać zapach wiosennych sadów. Może uda się dostrzec gdzieś wilka, rysia, żbika, czy niedźwiedzia albo i orła, krążącego nam nad głową? Warto jeszcze poszukać przedziwnych formacji skalnych i jaskiń, ukrytych przed wzrokiem człowieka. Wciąż możemy odnaleźć czasem budzące grozę, ale też piękne ślady przeszłości tej ziemi – wyobrazić sobie domostwa przy drodze, gdzie przetrwały tylko łemkowskie kapliczki; obejrzeć piękne drewniane cerkwie sprzed kilkuset lat; chłonać ciszę w miejscach, gdzie przed laty mieszkali tysiące ludzi. Dzisiaj jeszcze, choć z roku na rok coraz o to trudniej, możemy poczuć się niemal jak odkrywcy, wyznaczający w guszy nowe szlaki. A czas płynie szybko – za rok to będą już inne góry. ○

CENTRUM
DZIEDZICTWA
SZKŁA KROSNO

KROSNO
MIASTO SZKŁA

HISTORIA
WSPÓŁCZESNOŚĆ
ATRAKcje
TURYSTYCZNE

www.miastoszka.pl

INNOWACYJNA
GOSPODARKA
ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską
zł. środków Europejskiego Funduszu Regionalnego
w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka

ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z Krzysztofem Jaroszyńskim
satyrykiem, scenarzystą, reżyserem, producentem telewizyjnym

MAREK SZPENDOWSKI: Kiedy pracowaliśmy ze sobą w latach osiemdziesiątych, sprawiałeś wrażenie, że występujesz chętnie, ale niechętnie podróżujesz.

Krzysztof Jaroszyński: Zawsze było odwrotnie. Lubiłem podróżować. Dzisiaj mogę już powiedzieć, bo to czas zaprzeszyły, choć nie koniecznie perfect, że ja nie lubiłem występować. Podróże, biesiady – o tak! Jednak najgorszy był dla mnie moment, w którym musiałem powiedzieć: „Dobry wieczór Państwu”.

Co w takim razie fascynowało cię w podróżach?

W tamtych czasach wyjazdy indywidualne były utrudnione, a mimo to bardzo rozrastała się Polonia. Na wielu kontynentach miałem widownię polskojęzyczną. Kto by pomyślał, że w takim południowoafrykańskim Durbanie salę wypełni 1000 osób, które mnie rozumieją.

Spotykałeś tam znajomych?

Nie wiem. Tam każdy wpadał na mnie z otwartymi ramionami i całował na dzień dobry. Mam słabą pamięć do twarzy i nigdy nie wiem, czy tej osoby już nie spotkałem.

Na wszelki wypadek też całujesz?

Raczej tak.

A nie lubisz takich czułości.

Ja nie jestem „brat łąta”. Kiedyś w laotańskiej wiosce otrzymaliśmy gościnnie chatę wójta. Była to platforma na palach. Po zmierzchu nagle zaczęli przychodzić ludzie i siadać przy naszych łózkach. Zeszła ich się ponad setka, a każdy trzymał 3 niteczki, które zaczęli nam wiązać na nadgarstkach. Był to znak przyjaźni. Po każdej niteczce trzeba się było uściśnąć i ucałować. Tej nocy uściśkałem całą wieś. Przy pierwszych 10 osobach przeżywałem opór, przy pięćdziesiątej stało mi się to obojętne, po setnej zaczęło mi się podobać. To była terapia.

Dzięki pracy zwiedziłeś wszystkie kontynenty.

Byłem właściwie we wszystkich krajach dobrze „zaopatrzonych” w Polonię. Na zwiedzanie nie było czasu, bo ograniczał nas reżim trasy. Głównie więc poddawaliśmy się gościnności miejscowych rodaków, którzy wtedy nie grzeszyli fantazją i zapraszali nas do ... polskich restauracji na schabowego lub gołąbki.

Teraz podróżujesz prywatnie.

To z ciekawości, a także z chęci zobaczenia tych miejsc, w których byłem, ale ich nie widziałem. Poza Arktyką i Antarktydą, gdzie nie ma Polonii, poznałem właściwie każdą część świata. Uwielbiam Amerykę Południową. Byłem w rejonach, w które nie wysłano by Polaków nawet za karę. Nie będę się jednak popisowywał i udawał podróżnika – to były wycieczki turystyczne.

Co mnie ciągle zaskakuje to to, że w najtrudniejszych miejscach na świecie można spotkać osiemnastoletnich Australijczyków, którzy zrobili sobie przerwę w nauce i często naćpani, nie pamiętając jak się nazywają, wędrują sobie przez świat.

Czy zdarzyło Ci się przecenić własne siły?

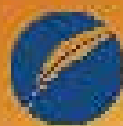
W naszej grupie turystycznej ja jestem tym, który umie zawrócić. Lojalność wobec grupy i planu podróży nie jest moją mocną stroną. Kiedyś mając już dość wyżyn Boliwii zdecydowałem, że nie pojedę dalej, a przed nami była jeszcze pustynia Atakama w Chile. Zaproponowałem, że spotkamy się w Santiago. Pozostali uczestnicy żartowali sobie ze mnie i powątpiewali w moją samodzielność. Prawdę mówiąc, nie jestem poliglotą, ale gdy trzeba, potrafię wymusić na miejscowych znajomość mojego języka.



Poza tym przyjaciele są przekonani, że mój lęk przed dziwnymi rzeczami jeszcze je potęguje i przyciąga. Przykładów mam setki. Ale nie jestem w tym jedyny. Kolejny jest Piotr Gąsowski. On zawsze dostanie miejsce w samolocie koło płaczącego dziecka.

Kiedy jeździłeś po Polsce w latach 70. i 80., to nie mogło być przyjemne. Kraj był wówczas brudny i szary, a po występie trudno było coś zjeść.

Ale ja akurat lubiłem bigos i fasolkę po bretońsku, jedyne w tamtym czasie dania dostępne na dworcach. Jadłem i nie szkodziło mi to. Kraj był rzeczywiście szary, brudny i niedoinwestowany. Jak tu coś umyć, kiedy nie było wody, mydła, ani chęci. Jednak lubiłem podróże. Czy teraz jest w Polsce fajnie? Tak. Czego mam tu za wiele? Lat!



LogosTour
BIURO TURYSTYKI ZNP



Podróże na 7 kontynentów z LogosTour

Europa



Azja



Afryka



Australia



Ameryka Płn.



Ameryka Płd.



Antarktyda



150 tras, m. in.:

- ROSJA (różne warianty) • UKRAINA (różne warianty)
- CHINY (różne warianty) • EMIRATY ARABSKIE (różne warianty)
 - TAJWAN – FILIPINY • ETIOPIA (różne warianty)
 - WENEZUELA – EKWADOR (+ Wyspy Galapagos)
 - RPA (różne warianty) • MEKSYK (różne warianty)
- USA (różne warianty) • AUSTRALIA – NOWA ZELANDIA

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

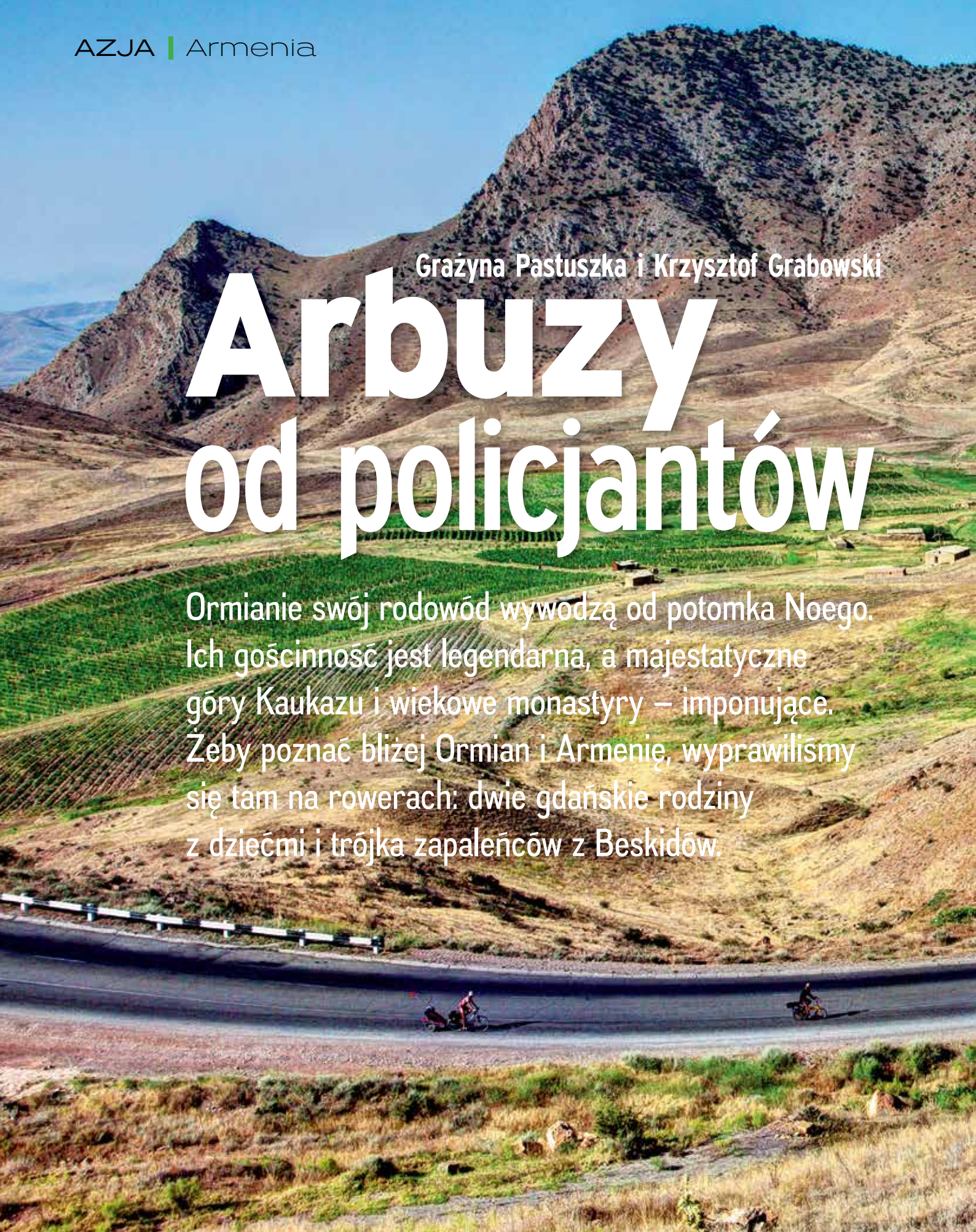
- NOWY JORK • BRAZYLIA – ARGENTYNA - CHILE

www.logostour.pl 801-011-864

Grażyna Pastuszka i Krzysztof Grabowski

Arbuzy od policjantów

Ormianie swój rodowód wywodzą od potomka Noego. Ich gościnność jest legendarna, a majestatyczne góry Kaukazu i wiekowe monastyny – imponujące. Żeby poznać bliżej Ormian i Armenię, wyprawiliśmy się tam na rowerach: dwie gdańskie rodziny z dziećmi i trójka zapaleńców z Beskidów.





FOT. KRZYSZTOF GRABOWSKI



Pomysł wydawał się dość szalony. Jednak niska cena przelotu z Warszawy bezpośrednio do Erywania, stolicy Armenii, skłoniła nas do podjęcia szybkiej decyzji. Musieliśmy tylko przemyśleć, jak poradzimy sobie na lotnisku z zapakowaniem siedmiu rowerów i tyleż samo sakw, dwóch przyczepek dla dzieci (3,5 i 4 lata) oraz bagaży podręcznych.

W MONASTYRACH CZAS NIE ISTNIEJE

Ormianie na całym świecie utrzymują, że pochodzą od Hajka, praprawnuka Noego. Arka praojca osiadła przecież w ich stronach, na świętej górze Ararat (obecnie we władaniu tureckim). O bogactwie armeńskiej historii świadczą liczne zabytki, które przetrwały tu w niezmienionej formie od wczesnego średniowiecza. Ten kraj jako pierwszy w świecie ustanowił chrześcijaństwo religią państwową. Przypominają o tym wspaniale zachowane mury monasterów. Dostojne budowle, zwykle budowane z bloków tufu, tutejszej skały wulkanicznej, mienią się barwami: od czerni, poprzez ciepły brąz, po jaskrawe odcienie rudości. Dachy i mury pokrywają częściowo mchy i porosty. W wielu miejscach widać wyryte w skale chaczgary – słynne ormiańskie krzyże o bogatej ornamentyce.

Do dwóch z tych monasterów z XIII wieku, dotarliśmy już na początku wyprawy. Saghmosavank – „Klasztor Psalmów” – i Hovhannavank górują nad głębokim, malowniczym wąwozem rzeki Kasagh. Wizyta w nich to jakby podróż w czasie. We wnętrzach panuje półmrok, niekiedy nawet prawie całkowita ciemność, rozjaśniona jedynie





POZOSTAŁOŚCI KLASZTORÓW NA PÓŁWYSPIE SEWAN

Warowny kompleks klasztorny mnisi wzniesli w IX wieku na wyspie. W 1930 ostatni zakonnik opuścił to miejsce. W wyniku prac hydrotechnicznych okresu stalinowskiego poziom wód w jeziorze opadł o 20 m, zamieniając wyspę w półwysp.

FOT. IRRZYSZTOF GRABOWSKI

blaskiem świec. Z surowym klimatem tych miejsc współgrają odprawiane tu nabożeństwa. Nawet nie rozumiejąc, chłonie się każde wyśpiewywane słowo, każdy dźwięk.

Większość armeńskich świątyń otwarta jest dla każdego, tak dla miejscowych wiernych, jak i dla turystów z odległych stron. Zresztą, zwiedzających jest mało nawet w tysiącletnich klasztorach w Sahahinie i Haghpat, wpisanych na listę UNESCO.

Najstarszym jaki odwiedziliśmy, był monaster z VII wieku w Odzun, niewielkiej miejscowości na

lewym brzegu rzeki Debed. Dotarliśmy tam pod wieczór, po męczącym dniu i mozolnej wspinaczce. Ciężką, kutą furtę otworzył sam proboszcz. Wskazał miejsce na rozbicie namiotów. Niezwykła była i noc w murach wiekowej świątyni pod ciemnymi, burzowymi chmurami, i rano, który nastąpił po niej. Gościnny duchowny zaprosił nas na spotkanie z odległą i ciekawą przeszłością monasteru. Przydała się znajomość rosyjskiego. Jak wszędzie poza Erywaniem, bo tylko w stolicy da się posłużyć angielskim.



FOT. GRAŻYNA PASTUSZKA

BAZYLIKA W ODZUN

Pochodzący z VII wieku, jeden z najstarszych monasterów Armenii.



**W DRODZE DO KLASZTORU
NORAWANK**

Jadąc w cienistym
kanionie, wcale nie
tęsknimy za słońcem
Armenii.





TURYSTA TEŻ JEST ATRAKCJĄ

Ormiańskie dzieci
nieczęsto spotykają
obcokrajowców.

BIESIADA NA JEDWABNYM SZLAKU

Serdeczność Ormian nie zna granic. Nie było dnia, by nie kierowano do nas zaproszeń do wspólnego biesiadowania lub choćby rozmowy. Policjanci z drogówki, podczas przerwy od obowiązków służbowych, częstowali arbuzami. Samotny pasterz, wiosną i lato spędzający na zboczach Aragacu, z daleka wołał, aby wypić z nim kawę. Wizyta w sklepie czy na targowisku, musiała się skończyć skosztowaniem choćby naparstka wysokoprocentowego samogonu, złagodzonego zsiadłym mlekiem lub gęstym, swojskim kefirem. Któregoś dnia oczekiwanie aż przejdzie deszcz, niespodziewanie zakończyło się zaproszeniem na sutą ucztę, wydaną na cześć gości ze stolicy przez ich dzieci i wnuki. Kiedy indziej przyszło nam zrobić kilkugodzinny postój na poboczu drogi wijącej się nad monasterem Tatew. Wraz z dużą grupą nowych ormiańskich przyjaciół syciliśmy się szaszłykami, wznosiliśmy długie toasty za ich znajomych i rodzinę do trzeciego pokolenia wstecz i słuchaliśmy śpiewów.

To samo spotkało nas na Jedwabnym Szlaku, po dziś dzień noszącym ślady dawnej świetności. Było to na wysokości ponad 2400 metrów nad po-

ziomem morza, na przełęczy Sulema. Znad cudownego jeziora Sevan prowadzi tam łagodna szosa, która kawałek dalej pięknymi serpentynami opada stromo w dół. Na kamiennych stołach i naprędce przygotowanych ławach kobiety rozłożyły liczne przysmaki. Zachęciły, byśmy podeszli i częstowali się, ile dusza zapagnie. Plastikowych kubeczków na ponowne „ciut ciut” nie brakło dla nikogo. Wiatr targał obrusami. Z otwartych drzwi łady dobiegała skoczna muzyka. Niezwykłe wrażenie pogłębiała bliskość karawanseraju Selim, w 1332 roku wbudowanego w ten górski masyw. To rodzaj zajezdnego domu dla karawan lub miejsce postoju podróżnych, z niszami chroniącymi przed słońcem.

W Armenii niemal na każdym kroku widzi się, że tysiąc lat to niewiele. Potwierdziła to nam wizyta w klasztorze Tatew – przepięknie położonej świątyni, do której od niedawna można dotrzeć nowoczesną koleją linową. My mozolnie pięliśmy się, tysiąc metrów w górę, zniszczoną drogą szutrową. Wysoko położony, rozbudowany kompleks budynków osadzonych na skale robi niesamowite wrażenie. Widok z pobliskiej góry uzmysławia, jak bardzo trudną do zdobycia twierdzą był w średniowieczu Tatew.

Polscy globtroterzy i miłośnicy dwóch kółek coraz częściej ruszają za granicę w poszukiwaniu atrakcyjnych tras rowerowych. W gorączce przygotowań – pakowania map, sprawdzania najlepszych szlaków – zapomina się często o tak przyziemnych sprawach, jak kask na głowę i stosowne ubezpieczenie.

Gdy przydarzy się nam wypadek, który wymaga szybkiej interwencji lekarskiej, ubezpieczenie pokrywa koszty leczenia. Ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej przyda się, jeśli wyrządzimy szkodę innej osobie. Jej ewentualne roszczenia za odniesiony uszczerbek na zdrowiu mogą być bowiem bardzo wysokie. Udając się w podróż, warto też zapoznać się z miejscowymi prawami, zasadami i obyczajami. Większość ubezpieczycieli nie odpowiada bowiem za szkody, które wyrządził ubezpieczony, naruszając np. zasady sanitarne lub z powodu popełnienia przestępstwa. Zwyczaje i prawa w różnych zakątkach świata są tak różne, że możemy naruszyć je zupełnie nieświadomie. Na Kaukazie, słynącym z gościnności, przekroczenie lokalnego kodeksu może być brzemiennie w skutki.



Magdalena Ługin
Biuro Ubezpieczeń
Indywidualnych
Ergo Hestii





FOT. KRZYSZTOF GĄBOWSKI

CZASEM TRZEBA ZJECHAĆ AŻ NA SAMO DNO

Rzeka Worotan płynie przez majestatyczne góry, żłobiąc w wielu miejscach głębokie kaniony. W średniowieczu przebiegał tędy Jedwabny Szlak – arteria handlowa łącząca przez 2 tysiące lat Chiny z Europą i Bliskim Wschodem.

W PUSTYNI, PUSZCZY I NA SZCZYTACH

Najnowsza historia Armenii nie pozostawiła tak imponujących śladów. Przypominają one raczej o ciężkich doświadczeniach narodu ormiańskiego. Patrząc na monaster Khor Virap po stronie armeńskiej i na niedaleką przecież, ale już turecką, górę Ararat (5137 m n.p.m.), trudno nie zauważać zasieków i strażnic na granicy z Turcją. Spojrzenie na klasztor i świętą górę Ormian na długo pozostanie nam w pamięci. Zwłaszcza, że to jeden z ostatnich akcentów naszej rowerowej wyprawy. Stąd już niedaleko do Erywanii.

Stolica Armenii nie różni się zbytnio od typowych europejskich miast. Trwa jej przebudowa. Powstają nowoczesne budynki. Place i skwery pięknieją. Przy głównych ulicach i alejach mnożą się kawiarnie, restauracje i nowoczesne sklepy. Brakowało nam jednak bogactwa charakterystycznego dla całej reszty kraju – naturalności i niespodziewanej gościnności.

Niedużo, lecz górzystą Armenię na rowerach zwiedza się niełatwo. Zwłaszcza gdy oprócz dzwigania bagażu, trzeba ciągnąć przyczepkę z dzieckiem – czyli w sumie dodatkowe 60 kilogramów.

Tatusiowie wylali sporo potu, pokonując w ten sposób drogi i kręte szutry na licznych przełęczach. Zwiedzenie niemal całego kraju nie byłoby jednak możliwe, gdybyśmy nie posiłkowali się też lokalnym transportem. Dysponując składakami i dużą dozą samodyscypliny, nie mieliśmy większych trudności z zapakowaniem całego naszego dobytku do marszrutek – taksówek wielkości forda transita. Pozostawało jeszcze wystarczająco dużo miejsca dla całej naszej dziewiątki. I, oczywiście, dla kierowcy, by mógł nas spokojnie zawieźć w kolejne fantastyczne miejsce. W ten „rowerowo-marszrutkowy” sposób pokonywaliśmy rozległe przełęcze i wzgórza. Na południu, blisko Iranu, przemierzaliśmy zbocza pokryte trawą wysuszoną upałami. Na północy towarzyszyły nam lasy, gdzieśgdzie przechodzące w prawie gęstą dżunglę. Widok majestatycznych gór motywował do większego wysiłku. Budziły zachwyty głębokie wąwozy o pionowych ścianach, niespodziewanie przecinające płaskie jak stół równiny.

Taka jest Armenia. Jej historii nie sposób nie docenić, a Ormian nie polubić. Żal byłoby nie odwiedzić tego kraju. ○

CYKL ZAWODÓW CROSS - COUNTRY

AZS MTB CUP

ZAWODY FINAŁOWE



25 WRZEŚNIA ZABRZE



WSPÓŁORGANIZATOR

"KOLARSTWO NA
WIELKIM EKRANIE"

CZYLI PODSUMOWANIE
SEZONU 2011



19 PAŹDZIERNIKA,
WARSZAWA,
NOVEKINO PRAHA

www.AZSMTBCUP.COM

SPONSORZY



Politechnika
Wroclawska



BENQ **CAMELBAK** **DAKINE** **BRUNOX**

PATRONI MEDIALNI

Pascal GARMIN. GoPro CMT

NUTREND
Dietary Supplements



onet.pl City Channel bikeBoard aktywni.pl



Jesienne wycieczki w góry

Z początkiem września polskie góry przechodzą swoistą metamorfozę. Kończą się wakacyjno-kolonijne wycieczki, młodzież wraca do szkół, a studenci i doświadczeni turyści ruszają na znacznie luźniejsze już szlaki. Obcowanie z naturą jest z pewnością bardziej komfortowe. Pamiętając o coraz krótszym dniu i chłodniejszej aurze, zadbajmy również o nasz komfort fizyczny. Odpowiednio dobrane obuwie, odzież czy akcesoria pozwolą nam w pełni cieszyć się z górskich wędrówek. Prezentujemy zatem kilka nowości godnych uwagi.

ADIDAS TERREX FAST X FM GTX

Zaawansowany technicznie but podejściowy z oddychającą i wodoodporną membraną Gore-tex®. Posiada również system adiPrene®+. To sprężysty materiał umieszczony w podeszwie środkowej, który pod naciskiem ugina się oddając energię. Wspomaga to naturalny ruch stopy, umożliwia lepsze wybicie się, minimalizuje ryzyko kontuzji stopy. System aktywnej podeszwy środkowej FORMOTION™ kontroluje pionowe oraz poziome siły działające na stopę podczas marszu. Ponadto elastyczna płytką z termoplastycznego poliuretanu, umiejscowiona pomiędzy podeszwą środkową i zewnętrzną w przedniej części buta, zapewnia maksymalną ochronę stopy przed skalistym podłożem w nierównym terenie.



Cena: 619 zł
www.adidas.com/pl/

CAMPUS PALERMO

Męska koszula o anatomicznym kształcie podkreślającym sylwetkę, wykonana z elastycznej tkaniny 2 Way Stretch – materiału idealnie sprawdzającego się przy produkcji odzieży trekkingowej i wspinaczkowej. Cechują go przede wszystkim lekkość i wysoka oddychalność przy właściwościach szybkiego wysychania i zachowywania kształtu. Dzięki 2-warstwowej konstrukcji tkanina ta doskonale radzi sobie z wilgocią dzięki czemu podnosi komfort użytkowania zarówno w mieście, jak i przy wzmożonym wysiłku fizycznym podczas górskich wycieczek.



Cena: 149 zł
www.campus.com.pl



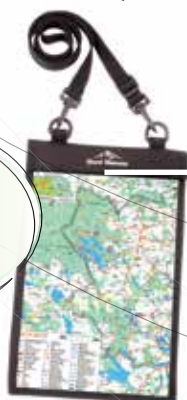
Cena: 119,90 zł
www.fam.gda.pl

JACK WOLFSKIN HIP & SIP

Mała torebka biodrowa (2 l), idealna na krótkie spacerki, do biegania czy na rower. Ma dwie kieszenie po bokach, w które można wsadzić butelki lub bidon. Jest też komora z zamknięciem na zamek (np. na dokumenty) oraz miejsce na przyczepienie lampki rowerowej. Pas biodrowy wykonany z siateczki, aby dobrze trzymał się ciała. Wymiary: 18 x 44 x 8 cm.

FJORD NANSEN MAP CASE REGULAR

Przydatny podczas każdej wędrówki mapnik. Ochroni Twoją mapę przed deszczem i błotem. Dzięki niemu mapa jest cały czas na wyciągnięcie ręki. Jego wymiary (19x30cm) oraz regulowane paski, sprawiają, że powiesimy go w dowolnym miejscu.



Cena: 29,90 zł
www.fjordnansen.pl

JANSPORT CATALYST

To mały (20 l), lekki (0,7 kg) i niezawodny plecak. W jego wewnętrznej kieszeni zmieści się bukłak na wodę z rurką wyprowadzaną na zewnątrz oraz najpotrzebniejsze na szlaku rzeczy (zapasowa odzież, kurtka przeciwdeszczowa, maść na przetarcia, batony energetyczne). Dodatkowo na przodzie plecaka znajduje się system elastycznych linek, którego możemy użyć do przytroczenia dodatkowego ładunku np. mokrej odzieży, którą chcemy wysuszyć. System specjalnych pasków ułatwia przymocowanie kijków trekkingowych, a boczne pasy kompresują ładunek. Komfort zapewniają ergonomiczne szelki oraz regulowany i usztywniany pas biodrowy. Jego budowa umożliwia bardzo dobrą wentylację pleców użytkownika.

Cena: 279,90 zł
www.jansport.pl



HANNAH HART

To męska kurtka typu Lite Pack z membraną Climatic Element+. Znakomita w wyprawach rowerowych i górskiej turystyce ze względu na łatwość spakowania i niewielki wymiar oraz niską wagę. Posiada regulowany kaptur, wyprofilowane rękawy, wentylację w kieszeni, wodoszczelne zamki oraz klejone szwy. Zaopatrzeni w tę kurtkę możemy ruszać w drogę nie bacząc na warunki atmosferyczne.

Cena: 465 zł
www.hannah.cz/pl



Cena: 389 zł
www.hannah.cz/pl

HANNAH EMBER

To damskie spodnie z powłoką typu Soft Shell. Mają dopasowany do nóg krój nogawek, oraz wzmocnienia na kolanach, zapobiegające przetarciom. Regulacja obwodu w pasie, oraz elementy Stretch zapewniają pełną swobodę ruchów nawet w najcięższych warunkach.



PETZL TIKKA PLUS²

Tej marki nikomu nie trzeba przedstawiać. Prezentowany model to mocna, wielofunkcyjna mini czołówka. Bardzo dobrze sprawdzi się na wielodniowych wycieczkach, pieszo lub na rowerze. Zwiększono parametry świecenia osiągając nawet 50 Lumenów. Posiada jedną białą diodę z 3 trybami świecenia: maks, mini, pulsujący oraz jedną diodę czerwoną świecącą w trybie ciągłym lub pulsującym. Ma również wskaźnik rozładowania baterii. Jej maksymalny zasięg to 35 m, a czas świecenia do 140 godzin. Latarka jest kompatybilna z bateriami litowymi. Jest odporna na zimno i wodoodporna (IPX 4), dzięki czemu nie zawiedzie nawet w najtrudniejszych warunkach. Waga: 83 g (z bateriami).

Cena: 139 zł
www.petzl.pl



JACK WOLFSKIN BASIC FLANNEL SHIRT



Ciepła i lekka koszula w kratę z bawełny organicznej. Przy uprawie bawełny organicznej nigdy nie stosuje się nawozów syntetycznych, pestycydów, herbicydów lub defoliantów, a sama bawełna nie podlega jakiegokolwiek modyfikacji genetycznej. Typ kroju „Regular Fit” – oznacza, że krój jest odrobinę bardziej obszerny niż zazwyczaj, przez co zapewnia większą swobodę ruchów. Koszula będzie pasowała do wszystkich spodni Jack Wolfskin z serii „Regular Fit”, które można odpowiednio dobrać ze względu na wybrany rodzaj aktywności.

Cena: 799 zł
www.polartec.com

Cena: 179,90 zł
www.fam.gda.pl

MAMMUT EISWAND

Bluza wykonana z Polartec® Thermal Pro® High Efficiency z technologią Hardface®. Co to oznacza? Otóż Polartec® Thermal Pro® to zaawansowana technologicznie dzianina, która utrzymuje optymalną temperaturę ciała i jednocześnie odprowadza wilgoć na zewnątrz. High Efficiency to system sześciątów w wewnętrznej warstwie dzianiny i gładka powłoka zewnętrzna – tym sposobem uzyskano lekką, ale zaskakująco ciepłą wersję dzianiny, zachowując jej doskonałą oddychalność. Natomiast technologia Hardface to fabryczne wzmocnienie dzianiny, które zwiększa jej odporność na uszkodzenia i na wodę. W efekcie stworzono niezwykle bluzy, które są idealne jako druga warstwa ubrania noszona podczas różnych outdoorowych aktywności. Eiswand posiada otwory na kciuki zabezpieczające rękawy przed podciąganiem np. w trakcie wspinaczki. Obszycia kieszeni zostały wzmocnione taśmą Gorilla.



THE NORTH FACE SUPER ZEPHYRUS HOODIE

Cena: 749 zł
www.thenorthface.com



Super Zephyrus Hoodie to nowy produkt w kolekcji The North Face Summit Series™. Dzięki unikalnej strukturze materiału zapewnia swobodę ruchów oraz ciepło. Bluza Super Zephyrus posiada panele z tkaniny Polartec® Power Stretch typu flece po bokach, pod pachami i na karku oraz gęstą ocieplinę Primaloft® One wewnątrz wiatroodpornej tkaniny typu ripstop pokrywającej korpus, kaptur i zewnętrzną część rękawów. Krój i kieszenie dostosowane do potrzeb alpinistów, zapewniają wygodę przy noszeniu plecaka, a rozciągliwe panele na biodrach zapobiegają przesuwaniu się bluzy ku górze.



travelchannelHD

www.travelchanneltv.pl

Drodzy miłośnicy podróży,

Travel Channel przynosi swoich widzów do wszystkich zakątków ziemi oferując im przygody z plecakiem, kulinarne poszukiwania, ekologiczne wczasy, pokazuje ekskluzywne miejsca oraz luksusowe zakątki na całym świecie i wiele więcej!

Dzięki programom nadawanym 24 godziny na dobę, 365 dni w roku Travel Channel zapewnia wspaniałą rozrywkę dla całej rodziny w języku polskim, która teraz dostępna jest także w jakości HD.

We wrześniu na antenie Travel Channel HD pojawi się kilka znakomitych, nowych programów. Charlie Ottley wyruszy w daleką podróż po Grecji. Objedzie kraj ze wschodu na zachód, z północy na południe oraz zwiedzi kilka przepięknych wysp, a to wszystko w apetycznym w programie **Rejsy**, odkryjemy magiczne, Norweskie Fiordy, wyruszymy do Tunezji, aby zwiedzić stolicę tego kraju Tunis, oraz zaznamy odrobinę relaksu w jednym z gorętszych miejsc na Karaibach, a dokładnie w okolicach wysp Kajman. W najnowszym odcinku **Travel 2011** udamy się do Hong Kongu oraz wschodniej Turcji. W części poświęconej Polsce reporter Michał Borejko zabierze nas do Zespołu Nadwiślańskich Parków Krajobrazowych.

Zasmakuj się w przygodzie!
Życzy Zespół Travel Channel

Nowe, znakomite programy na Travel Channel HD



Travel 2011

We wrześniowym odcinku **Travel 2011** udamy się do Hong Kongu oraz wschodniej Turcji. W części poświęconej Polsce reporter Michał Borejko zabierze nas do Zespołu Nadwiślańskich Parków Krajobrazowych, miejsca gdzie na Wiśle łowi się łososie oraz Młynu w Grucznie i Skansenu Uli.

Premiera: 5 września o godzinie 19:00



Rejsy

Gospodarz **Rejsów**, Ginny Buckley z pokładu statku Hurtigruten's MS Nordlys odkryje magiczne, Norweskie Fiordy. Gareth Davis wyruszy do Tunezji, podczas gdy Sarah Cawood zazna odrobinę relaksu w jednym z gorętszych miejsc na Karaibach.

Premiera Travel Channel HD:

4 września o godzinie 19:30

Premiera Travel Channel:

7 września o godzinie 20:30



Smaki Grecji

Charlie Ottley wyruszy w daleką podróż po Grecji. Objedzie kraj ze wschodu na zachód, z północy na południe oraz zwiedzi kilka przepięknych wysp, a to wszystko w apetycznym w programie **Smaki Grecji**.

Premiera Travel Channel HD:

21 września o godzinie 19:00

Premiera Travel Channel:

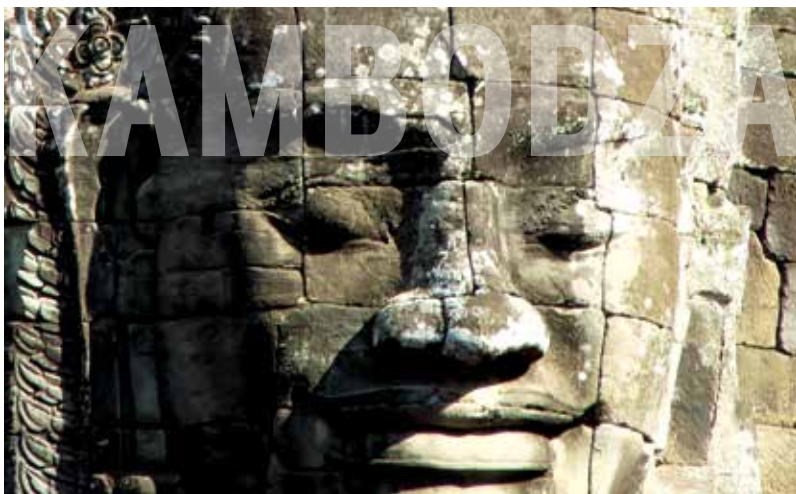
19 września o godzinie 19:00





Ostatni kłós II Rzeczypospolitej

Fotografia z sierpnia 1939 roku przedstawia korowód dożynkowy w Masłomiańce. Na czele, zgodnie z tradycją, idzie najlepsza żniwiarka, wraz z parobkami do pomocy. Za nimi krocą pozostali mieszkańcy wsi. Wszyscy ubrani są w tradycyjne stroje ludowe.



KAMBODŻA



SYRIA



MAROKO

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak,
Paweł Chara, Marek Kamiński,
Grzegorz Kapla, Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Katarzyna Rojek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Adres redakcji
Kowale, ul. Glazuruwa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990, 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazuruwa 7, 80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 583 048 776

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak

Nieoceniona pomoc techniczna
Robert Krygier

Produkcja i Prepress
Artur Bury

Druk
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja
TM Media Mirosław Tański

Reklama
Aleksandra Musiał
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.

KONKURS!

Poznaj Świat

Wydawca Miesięcznika „Poznaj Świat” wysyła w świat trzech najlepszych autorów!
Wręcza globus,

10 tysięcy złotych

i oczekuje relacji z wyprawy.

Co należy zrobić, by znaleźć się w tym gronie? Zasady są proste.

1. Należy przesłać do redakcji Miesięcznika „Poznaj Świat” ciekawy tekst, będący zapisem własnej podróży odbytej w okresie styczeń 2011 – styczeń 2012.
2. Dołączyć fotografie z wyjazdu.
3. Uzyskać publikację tego tekstu w Miesięczniku „Poznaj Świat” w jednym z numerów, który ukaże się od września 2011 do lutego 2012. W tym celu należy przejść procedurę kwalifikującą tekst do publikacji przez Redakcję oraz zawrzeć z Wydawcą umowę. Autorzy zamieszczonych artykułów otrzymają wierszówkę wg stawek ustalonych przez Wydawcę.
4. Poddać się osądowi Czytelników, którzy w marcu 2012 wezmą udział w internetowym głosowaniu na trzy najlepsze artykuły publikowane w Miesięczniku „Poznaj Świat” w okresie wrzesień 2011 – luty 2012.
5. W głosowaniu Czytelników zdobyć jeden z trzech najlepszych wyników.
6. Zgłosić się do Wydawcy, ustalić z nim termin i kraj wyjazdu.
7. Odebrać globus i 10 tys. złotych.
8. Napisać dla Miesięcznika „Poznaj Świat” ciekawą relację z podróży.

warunki konkursu:



Discover Freedom™

PLECAKI CLOUD RIPPER

NOWA KOLEKCJA PLECAKÓW OUT DOOR JUŻ W SKLEPACH.

ZOBACZ WIECĘJ NA WWW.JANSPORT.PL. ZNAJDŹ NAS NA WWW.FACEBOOK.COM/JANSPORTPOLSKA